Nr. 1. Warszawa, dnia 20 Grudnia 1897 r. (1 Stycznia 1898 r.) Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy. kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Rok 1897

I.

Kretą się zaczął, Kretą się kończy ten rok umykający nam w gąszcze historyi. Czekali Kreteńczycy-chrześcianie na ustępstwa sułtańskie w początku roku 1897, czekają i w pierwszym dniu 1898-go. Położenie ich o tyle zmieniło się — na lepsze i na gorsze zarazem — że prócz sułtana mają nad sobą jeszcze i „admirałów,“ specyalny wytwór ubiegłego roku, i dyplomacyę w Stambule, która teraz zrobić chce dla nich już jak najmniej, ale z pewnem już prawdopodobieństwem, że zrobi wreszcie cokolwiek. Nie mają już opatrzności w Atenach. Opatrzność porwała się na Turków, Turcy ją przetrzepali, i teraz skulona i potulna, opatruje tylko własne swe kieszenie i przekonywa się, że są równie puste, jak pustemi były głowy, gdy się do czynu zabierały. Interwencya zbrojna na Krecie w lutym. wojna najzupełniejsza, najprawidłowiej historyczna, na lądzie Europy w kwietniu i maju — są dwoma faktami w życiu narodu greckiego tak wybitnymi, że srogie doświadczenie, którem się zakończyły, powinnoby wywrzeć na dalsze jego dzieje wpływ nauczycielski. Wypadki dały Grekom odpowiedź na pytanie: jak nie trzeba robić polityki narodowej, a jak trzeba przestrzegać porządku w państwie, gdy się je ma, gdy się już raz to najwyższe dobro ludzi rozumnych posiadło. Lekkomyślność ministra Delyanisa dopomogła tu zapałowi młodzieży. w „Ethnike Hetairia“ zorganizowanemu do odsłonienia wrzodów i ran zarządu państwowego, które bez wojny możeby się nigdy nie ujawniły, a po wojnie — czy przyniosą otrzeźwiającą rozwagę, poprawiającą wolę, rozsądną a prawdziwie patryotyczną działalność, skierowaną na wewnątrz ku ulepszeniu machiny państwowej i podniesieniu społeczeństwa? Wątpić można. W dotychczasowych ruchach nie widać zapędu do poprawy rzeczy publicznej, do odrodzenia.

Pod naciskiem opinii i ministra, jakoby zagrzewanego, nie urzędownie przecież, przez posła angielskiego, król Jerzy wysłał w d. 11 lutego syna swego, ks. Jerzego, z eskadrą, która miała stanąć przy brzegach Krety, aby tamować Turkom dowóz materyału wojennego, a dowozić właśnie ten materyał Kreteńczykom. Książę zawinął d 13 t. m. pod Kaneę, stolicę wyspy. Stały tam już wtedy okręty europejskie — dziedzictwo po r. 1896. Dowódcy ich, „admirałowie,“ przyszli na pokład okrętu książęcego rozmówić się z księciem i przekonali go tak, że odpłynąwszy na zachód wyspy, ograniczył się na wysadzeniu słabego oddziału ochotników i wyładowaniu kilku armatek. Misya jego się skończyła, ale zaczęła się zaraz nowa — adjutanta królewskiego, Vassosa. Ten wysadził już więcej ochotników na półwysep Akrotiri i dzięki tym posiłkom przez kilka miesięcy powstanie około Kanei było dość ożywione. Nacisk opinii w Atenach nie ustawał. Ciągły krzyk „wojna, wojna,“ przyniósł nakoniec wojnę. Z początkiem kwietnia zaczęli się przemykać do Tessalii tureckiej ochotnicy, d. 17 t. m. już wojsko greckie pod wodzą następcy tronu wtargnęło na północ ponad Pencios i Xeragi. W tydzień już Turcy wdarli się do greckiej Laryssy, a do d. 16 maja zdołali wyprzeć Greków i z Farsalosu i z Domoko, gnając ich coraz dalej na południe i wschód w góry Othrys, ku Lamii, ku Termopylom i Beocyi. Klęska zakończyła także równoczesne natarcie flotą i wojskiem na epirską Prewezę. W miesiąc już było po wojnie. Europa z widza stała się pośredniczką. D. 4 czerwca stanęło zawieszenie broni, d. 18 września podpisano w Stambule preliminarya, a po długich rozprawach dopiero d. 4 grudnia traktat pokoju, ratyfikowany d. 20 t. m. Grecya płaci Turcyi 4 miliony funtów tureckich, odstępuje jej dolinę Tempe i przesmyki dalsze na zachód, poddaje swe finanse pod kontrolę Europy, w kapitulacyach doznaje ograniczenia, pozwala Turkom zajmować Tessalię aż do zupełnego spłacenia kontrybucyi. Wojna wyrzuciła na wierzch jednego tylko człowieka: Smoleńskiego. Został on w nowym rządzie powojennym ministrem wojny. Zresztą ta cała armia grecka, te jej sztaby, jej wodzowie, wyżsi i niżsi, jej artylerya, jej jazda — to jedna nędza.

Rok ubiegły będzie pamiętnym dla Austryi, dla całej monarchii habsburskiej. Niemcy na to tylko usłyszeli od p. Badeniego, przy obejmowaniu urzędu prezesa ministrów w r. 1895, tę niebezpieczną prawdę, że sobie wyrobili stanowisko w kulturze i polityce przodujące, aby teraz ze stanowiska tego inne narodowości przytłoczyć. Po otwarciu Izb w d. 27 marca, mowa tronowa, o dwa dni późniejsza, zarysowała taki program troskliwości i działalności wewnętrznej, iż równie rozumne-

go przez cały czas 15-letniej ekwilibrystyki Taaffego nikt z ław rządowych wygłosić nie mógł. Ale nie rozum robi dzieje, lecz namiętność. Nowa Izba, pierwsza z nowych wyborów, na mocy przeprowadzonej przez p. Badeniego w r. 1896 reformy — pokazała nową sztukę. Wytworzenie kuryi piątej, ludowej, wprowadziło do sejmu nowe zupełnie dwa stronnictwa: socyalistów i anti-semitów; zeszczupiały stronnictwa narodowe, utyły niemieckie lub z Niemcami, jak się okazało, trzymające. Większość w Izbie deputowanych była tak słaba, że przy ogólnej liczbie 425 posłów przewaga nie dochodziła nawet dziesięciu. Podczas wyborów od stycznia do marca p. Badeni zrazu chciał porozumieć się z Niemcami o pokój w Czechach, ale gdy Niemcy wymagali za wiele, porozumiał się z Czechami i w samym początku sejmowania, dnia 5 kwietnia, wydał t. zw. rozporządzenia językowe, tj. przez pięciu ministrów podpisane zasady dla urzędów państwowych w Czechach, nakazujące obowiązkową od pewnego, wieloletniego terminu, znajomość języka czeskiego. Później podobne rozporządzenie wyszło i dla Moraw. Czesi byli pozyskani i wytrwali wiernie w większości, ale Niemcy zamienili się odrazu we wrogów nietylko p. Badeniego, nietylko jego programów i czynów już spełnionych, ale Austryi samej. Już w maju zaczęli przyżegać konstytucyę przedlitawską obstrukcyonizmem, a gdy 2 czerwca Izbę niezdolną radzić rząd odroczył do jesieni, d. 23 września powtórzyli operacyę, usystematyzowawszy ją w karczemność, która zatamowała wszelką działalność ledwie tylko projektowi zasiłków dla krajów koronnych, nawiedzonych przez powodzie, przemknąć się pozwoliła do przybytku prawa.

Pierwszego już dnia sesyi jesiennej p. Badeni, obrażony przez niejakiego Wolfa, dziennikarza z powołania, wyzwał go na pojedynek. I to było nowem; z początku sprawiło wrażenie, obudziło nawet, choć słabe nadzieje, które jednak złudnemi się okazały: rycerskość, lokką jeszcze raną uzacniona, nie wpłynęła na politykę. Trwały hałasy i burdy, którym równych absolutnie nie było, odkąd istnieje parlamentaryzm, przez drugą połowę października i cały listopad. Prezydujący Kathrein uciekł, rzucając zaufanie na śmiecie; ciernisty zaszczyt dostał się p. Abrahamowiczowi. Czcze oskarżenia ministrów o owe rozporządzenia i inne niegodziwości wydały się Niemcom ważniejszemi i prawowitszemi od wniosku rządowego, domagającego się uchwalenia tymczasowej ugody z Węgrami, która d. 1 stycznia koniecznie już w życie wejść musiała. Przy niesłychanych wysileniach, zasiadając bez przerwy po dwadzieścia kilka godzin, zdołano w listopadzie odesłać wniosek do komisyi, ale gdy przyszło do roztrząśnienia raportów w Izbie, krzykacze niemieccy udaremnili usiłowania prawicy ku uchwaleniu wniosku. Posiedzenia z 25 i 26 listopada pozostaną pamiętnemi w historyi. Wręcz już nieszczęsna myśl wezwania policyi sprowadziła zupełne załamanie się prawodawców. Niemcy i socyaliści wywołali zaburzenia uliczne: ulicy jeszcze potrzebowali, zrobiwszy już karczmę. D. 28 t. m. p. Badeni wyprosił sobie wreszcie dymisyę. Izba, odroczona przez prezydującego samem tylko niezwolaniem na nowe posiedzenie, nie zebrała się już więcej. Ugodę tymczasową zawrze sam cesarz, oznaczając kwotę wydatków wspólnych na mocy § 3 ustawy o sprawach wspólnych; ministrowie zaś na mocy § 14 o prawach reprezentacyi przedlitawskiej wydadzą tymczasowe zasady dla stosunków celnych i handlowych. Zaraza obstrukcyonizmu dostała się na Węgry; zagorzalcy, nazywający się partyą niezawisłości, a właściwie zwolennicy przyszłej niewoli, wydali hasło unii jedynie tylko osobistej, nawet zupełnego oderwania się; przewodzi im Franc. Kossuth. Projekt rządowy, równocześnie nie mógł się przez grudzień dostać pod uchwałę, choć na Węgrzech większość sejmowa ma znaczną bardzo nad mniejszością przewagę.

Cała postawa Niemców czeskich, system i metoda, agitacya po za parlamentem, krzyki, śpiewy i hałasy, zjazdy, narady i uchwały, i ten zacięty upór przy monopolu języka niemieckiego, ta dysząca nienawiść ku narodowościom słowiańskim, a nadewszystko grzeszna obojętność na niezbędną potrzebę życia politycznego Austryi, wraz z występnem lekceważeniem niebezpieczeństwa otwierającego pod nią przepaść — wskazują, że w żywiole niemieckim Przedlitawii zaczął już wytwarzać się ferment rozkładowy, ciążenie do wielkiej ojczyzny niemieckiej, które, gdyby raz już przejęło całą masę, potrzebowałoby tylko podniety z zewnątrz — podniety tak łatwej — aby sprowadzić przewrót, jakiemu równego nie było od wojen napoleońskich. Zbawienie Austryi przynieść może tylko federalizm, którego pożądanie obudziła już mowa tronowa, a jego linie wytyczne wskazał projekt adresu większości, ułożony przez p. W. Dzieduszyckiego, z którego główne punkta odczytał przy odraczaniu Izby w czerwcu pierwszy wnioskodawca, p. Jaworski. Wiec krakowski, odbyty dnia 12 grudnia, jest zadatkiem tego zespolenia się pozasejmowego, które samo jedno tylko uczynić może Niemców nieszkodliwymi i odwrócić od Austro-Węgier grozę przewrotu.

Tydzień polityczny. Ks. Henryk pruski ledwo umknął przed burzą pod Gibraltar. Wstąpi jeszcze po drodze do rodziny królewskiej włoskiej i przez Suez pomknie do Kiau-czau. Pogłoski o zajęciu Talienwanu przez Anglików są niedorzeczne. Anglicy wyrzekną się w tej chwili działania na własną rękę; dopomogą tylko może Japonii, która się zbroi i ma zamiar, co najmniej, wzmocnić się w Wei-hai-wei. Dla rozwiania tego zamiaru powstaje inny: spłacenia kontrybucyi, której należy się jeszcze Japończykom przeszło 300 mil. marek. Występuje mo-

---

34)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

OSIEDLENIE.

Osiedleńcy.

Tam do pana przyszli osiedleńcy!— oznajmiła mi gospodyni mieszkania, zmieszana i przerażona.

— A czy nie można ich tu poprosić?

— Co pan mówi? Gdzie tutaj? Proszę tylko spojrzeć, ilu ich tam jest!

Wychodzę na ganek. Tłum osiedleńców, złożony z ludzi dwustu; wszyscy, jak jeden mąż, zdejmują czapki.

— Wielmożny panie! Raczcie swoją zwierzchniczą laskę okazać.

— Czego żądacie?

— Przyszliśmy z powodu swych porcyj. Niema żadnego wyjścia...

— Słuchajcie, kochani! Za kogóż wy mnie macie? Przecież ja nie jestem władzą.

— Tak! Ale wiadomo nam, żeś pan pisarz... Więc prosimy o napisanie do kogo należy... Sposobu już niema. Z głodu umieramy! Przyszliśmy tu z osiedlenia, myśląc, że jaką pracę znajdziemy; ale wszyscy przedsiębiorcy Japończyków do robót używają. Porcyj nie dają, na ląd dla zarobku nie chcą puścić. Choć umieraj tu na Sachalinie! Cóż my teraz robić będziemy?

— A gospodarstwo wiejskie?

— Jakież, wielmożny panie, nasze gospodarstwo! Nietylko siać — nie mamy co jeść! Kto miał nasiona — zjadł. Prędko nie dadzą, śmierć nadchodzi!

— Panie wielmożny! — przeciska się przez tłum chłop niepozorny.

Typ rzemieślnika, który się puścił na hulankę. Naprasza się pod ołówek „chłopa kamaryńskiego“: „broda jego skudłaczona, cała w trunku umoczona“ *). Koszula czerwona wzdęta od wiatru, jak żagiel.

Głos przenikliwy, dźwięczy „łzą pijacką,“ wydobywa się z głębi jego pijanej duszy.

Rzucił z całej siły czapkę o ziemię:

— Panie! Jaśnie oświecony! Pozwól, że wszystko opowiem, jak z nót. Jaśnie oświecony! Panie, dobroczyńco! Wszystko to z ich strony sprawiedliwe; jak przed Bogiem mówię — sprawiedliwe. Bo już niema sposobu.

Oto przychodzi do mnie naprzykład jeden.

— „Słuchaj, Mosiej Lewontycz, niema sposobu.“ A ja mu na to: „Pij, jedz, zabawiaj duszę!..“ Bo ja jestem dla każdego... Co? sprawiedliwie mówię, czy nie? — I w tej chwili z jakąś wściekłością zwrócił się do tłumu: sprawiedliwie, czy nie? cóż wy, dyabli, milczycie?

— Tak jest... Rzeczywiście! — odpowiada od niechcenia tłum. — Ty przecież dla sprawy...

— Bo widzicie, ja dla każdego! Za swoje własne... Oto moje własne! — I otwiera dłoń, w której pokazuje siedem kopiejek. — Oto one! Krzywda!..

„Mosiej Lewontycz“ bije się pięścią w piersi.

W głosie jego coraz mocniej i wyraźniej drży łza.

— Sprawiedliwie mówię, czy nie? Cóż wy milczycie, Za was, dyabli, mówię, staram się, a wy milczycie!

— No tak... Prawda... Ty przecież za sprawą, za sprawą — odpowiada tłum już znudzony.

Ale „Mosiej Lewontycz“ wpadł w zapał, nic nie słyszy, nie słucha.

— Jakiż to jest na świecie człowiek Mosiej Lewontycz?! Osobiście znam dozorcę osiedlenia. Wzywa: „Czy możesz,

*) Przyśpiewek do tańca ludowego, zwanego „kamarinskij“ (*Przyp. tłom.*).

ment nowy: żywa wymiana depesz w sprawie chińskiej między Berlinem a Wiedniem; w wojnie dyplomatycznej Austrya zachowa się neutralnie; trójprzymierza neutralność taka nie wzmocni, ale też i nie rozerwie odrazu.

W Austro-Węgrzech ugoda tymczasowa ani z tej, ani z tamtej strony Litawy nie doczeka się aktu prawodawczego; obstrukcyonizm na Węgrzech niweczył początkowanie rządu. Do dnia 29 z. m. nie było jeszcze aktów władzy wykonawczej: ani oznaczenia kwot w myśl owego § 3-go przez samego cesarza, ani urządzenia stosunków celnych, handlowych i monetarnych według § 14 przez ministrów—a nie było, pomimo bliskości dnia prekluzyjnego (31 grudnia).

Sąd na nowych panamczyków czterech już z nich uwolnił, gdyż sam prokurator zrzekł się skargi. Bourgeois miał w Valence mowę radykalistyczną. Esterhazy ma być puszczony wolno.

Na Kubie była walka zacięta d. 24 z. m.; poległ podobno generał hiszpański. Wylądowali ochotnicy ze Stanów Zjednoczonych. Motłoch hawański krzyczał: „Precz z samorządem."

W senacie unii Lodge zażądał przyłączenia wysp antylskich Św. Tomasza, Św. Krzyża i Św. Jana — chyba po uzyskaniu ich od Danii.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PODWYŻKI I GRATYFIKACYE.

Ekonomia polityczna, formułująca warunki i zjawiska życia, mówi nam, że w miarę wzrostu środków, rosną także potrzeby spożywców. Formuły tej trzymają się ściśle wszelkie instytucye zarobkodawcze u nas, zwłaszcza oparte na akcyach. Stąd przyjęto stałą zasadę: im kto ma większą pensyę, tem większą podwyżkę lub gratyfikacyę otrzymać powinien. Niewątpliwie stosunek płacy i tych dodatków do pewnego stopnia jest uzasadniony. Człowiek, który otrzymał wyższe lub przynajmniej średnie wykształcenie kosztem bardzo znacznym, który następnie oddał swoje zdolności, siły i wiedzę na usługi pewnego warsztatu pracy, musi stosowną płacę pobierać. Nadto jego poziom umysłowy, stosunki społeczne i towarzyskie, wymagają większych wydatków, niż ludzi ze sfer pozostających w półmroku.

Tak jest z pozoru; w rzeczywistości bywa inaczej. Niższymi szczeblami nazywają się u nas posady oszacowano tanio, pomimo że w gmachu danego przedsiębiorstwa są one jego fundamentem. Gdy się przyjrzymy poziomowi umysłowemu, kwalifikacyom i uzdolnieniom tych ludzi, wciągniętych do rubryki „małej płacy i małej skali potrzeb," znajdziemy tam pracowników, którzy zdobyli wiedzę wyższą może stosunkowo niezbyt wielkim kosztem materyalnym, ale nadzwyczajnym wysiłkiem woli, oraz kosztem zdrowia. Jakiś np. syn właściciela domu handlowego może się pochwalić, że zdobycie wiedzy uniwersyteckiej kosztowało go w ciągu czterech lat 12,000 rs. Gdy tym czasem jego kolega, syn oficyalisty skromnego, zdobył tę samą wiedzę (z tą wszakże różnicą, że ją rozszerzył i pogłębił pracą rzetelną) kosztem 2,000 rs. Stało się tu zgodnie z prawdą ekonomii, że skala potrzeb odpowiada skali zasobności danej jednostki.

Warunki i urządzenia bytu twierdzenie to utrwalają, dalej w życiu: Syn właściciela domu handlowego, dzięki stanowisku ojca, otrzymuje posadę synekuralną, z pensyą odpowiednią do kosztów swego wykształcenia i skali majętności: pobiera 4,000—6,000 rs. Jego zaś kolega, syn oficyalisty, pobiera rs. 600 i dźwiga na swych barkach wraz z innymi towarzyszami tę całą kolumnę, na której szczycie używa wywczasu jego kolega, syn właściciela domu handlowego. Obaj zawiążą ogniska rodzinne, obaj odczuwają znaczny wzrost swych potrzeb, obaj chciwie przyjmują podwyżki i gratyfikacye. Ale różnica w skali wydatków pozostaje ta sama, jaka była podczas studyów uniwersyteckich. Obaj posyłają swoje dzieci do szkoły, obaj muszą im kupować książki i opłacać wpisy. Zachodzi tylko ta różnica, że gdy pierwszy, otrzymawszy gratyfikacyi rs. 500, wyprawi „kinderbalik" lub na kolędę obdarzy sutymi podarunkami swoją rodzinę, drugi, mając rs. 50 zapomogi nie wie jak je podzielić, ażeby zaspokoić choć cząstkę potrzeb najpilniejszych, a stroskany groźą usunięcia syna ze szkół za niezapłacenie wpisu, kołacze do miłosierdzia publicznego.

Na takiem podłożu warunków bytu formułka ekonomii politycznej stała się u nas prawem zwyczajowem, wrosła w mózgi i serca wszelkiego rodzaju przedsiębiorców, korzystających z pracy ludzkiej i jej owoców.

Wymowną ilustracyą takich stosunków jest świeży fakt, który się zdarzył na ogólnem zebraniu Towarzystwa kredytowego miasta Warszawy. Z powodu drożyzny i świąt podano wniosek udzielenia zapomogi urzędnikom. Przeciwko temu wystąpili gorąco stowarzyszeni. Twierdzili oni, że urzędnicy mają pensye dostateczne, że zapomóg im wcale nie trzeba. Przeciwnie — należy się ulitować nad nieborakami stowarzyszonymi i nie gnębić ich: nie obciążać kosztów administracyi rubryką zapomóg. Nie ulitowano się jednak i zapomogi uchwalono w stosunku 10% płac pobieranych.

Widzimy w tem całem zdarzeniu dwa rysy wielce znamienne: opozycyę kamieniczników i zachowanie tradycyjnego stosunku zapomogi. Pierwsza wywołała ogólne oburzenie, którego nie zatrze nawet ustępstwo, uczynione pod naciskiem opinii ludzi szlachetniejszych. Ale zwycięstwo to jest tylko pozorne. Biedni właściciele domów potrafią zawsze wszelkie swoje „straty" z lichwą wydobyć. Gdy im każą kanalizować domy, udają się z płaczem do lokatorów, którzy podwyżką komornego nietylko pokrywają koszt kanalizacyi, lecz z tej okoliczności podnoszą na stało dochód kamienicy. To samo dzie-

---

Mosiej Lewontycz, biust do ogrodu zrobić?" — Tak, mogę, bom rzeźbiarz z urodzenia!

„Rzeźbiarz z urodzenia" zaczyna znowu się bić w piersi i łzy ociera.

— Nie byle jaki, z urodzenia! Rzeźbiarz jeszcze z Rosyi. „Możesz?" – Mogę. „Masz dwa kwitki na spirytus." Krzywda! Co ja zrobię z tymi kwitkami? A jeżeli każdy ma swoje kwity? Czy sprawiedliwie mówię, czy nie? Cóż wy, dyabli?..

— No, słuchaj! — przerywam mu, przekonawszy się, że wymowie rzeźbiarza nie będzie końca. — Widzę, żeś człowiek poważny. Innym razem z tobą pomówię, a teraz daj mi z ludźmi przyjść do słowa. Odsuńcie go, bracia.

Dziesięcioro rąk bierze przyrodzonego, lecz rozgoryczonego rzeźbiarza i jego chełpliwa postać znika w tłumie.

Położenie przykre.

— Cóż ja dla was mogę zrobić? Nic nie poradzę.

— Tak! — ponuro odpowiada tłum—do kogo tylko się zwrócić, każdy nic nie może. Któż może? Co teraz nam czynić wypada?

— To już w więzieniu lepiej!.. O wiele lepiej! Porównania niemal.. Tam chociaż robota, ale za to strawa!.. A tu — ani roboty, ani żywności. Cóż teraz począć? Pozostaje jedno: zabijać, rabować! Niechaj znowu zamkną do turmy. Tam przynajmniej chociaż karmić będą! Więcej nic nie pozostaje. Chwycić pierwszego lepszego! — sarkają głosy gniewne.

I oto poraz pierwszy przypomniałem sobie aforyzm:

— Katorga zaczyna się wtedy, gdy się kończy: z chwilą wyjścia na osiedlenie.

Aforyzm ten wszędzie miał uznanie, gdziem tylko wygłosił go na Sachalinie.

— Tak jest istotnie, sprawiedliwie. Słowo prawdziwe! — mówili katorżnicy i osiedleńcy — tak jest rzeczywiście!

— Zupełnie prawdziwie! — dodawali ludzie „z inteligencyi."

I nawet ci, których obowiązkiem, zdawałoby się, powinny być zabiegi o to, ażeby się zmieniło na lepsze, nawet ci tylko wzdychali:

— Niech pan napisze! Koniecznie proszę napisać. Jest to prawda. Głęboka prawda. Strach, strach!

„Towarzyszka życia").*

Co za fantastyczny obraz! Gdzie można w całej Rosyi znaleźć coś podobnego?

— Boże dopomóż, ojcze!

— Pokornie dziękuję, wielmożny panie. Powstałabyś, widzisz, pan idzie! — mówi chłop, wyciągając z pieca świeżo upieczony chleb, podczas gdy baba leży sobie na łóżku.

Podnosi się niechętnie.

— Nic nie szkodzi! Leż sobie, kochana. Czy chora twoja gospodyni?

— Gdzie tam chora?—odpowiada z niezadowoleniem baba, znowu przybierając położenie poprzednie; — dzięki Bogu!

— A cóż tak leżysz? Nieładnie jakoś: chłop babską robotę spełnia!

— To mi wielkie rzeczy! Przecież ręce mu nie poodpadają. Własne—nie kupione. Niech popracuje!

— Ależ to wstyd! Wstałabyś, wzięłabyś się do roboty!

— Niech ją tam, wielmożny panie! Baba! — mówi chłop tonem błagalnym; znać, że jest bardzo zawstydzony.

— W domu napracowałam się — wystarczy. W domu, w Rosyi pracowałam, a jeszcze miałabym i tutaj! Patrzcie! A on nie może mię wyręczyć? Nie chce — kłaniać się nie będę. Nadzorca wzywa mię do siebie na towarzyszkę życia. Takich jest dużo. Zechcę — pójdę do pierwszego lepszego!

Kobieta pochodzi z gub. Kostromskiej, wymawia wyraźnie „o." W głosie i sposobie mówienia znać zuchwalstwo.

*) „Towarzyszkami życia" („sożitielnicy") nazywają się na Sachalinie kobiety, skazane do ciężkich robót i oddane osiedleńcom do „wspólnego prowadzenia gospodarstwa." Tak określano niegdyś urzędowo. Dziś, nawet urzędowo, np. w „Kalendarzu sachalińskim" nazywa się „pożyciem nielegalnem," co jest bardziej zbliżone do prawdy.

je się z podatkami, wodą itd. Ponieważ urzędnicy Towarzystwa kredytowego miasta Warszawy nie mieszkają w rurach wodociągowych lub na wale wiślanym, lecz muszą się uciekać pod dachy tych samych stowarzyszonych, dla których dobra pracują, więc można łatwo przewidzieć, że zwrócą im z lichwą zapomogi, przyjęte od zarządu, i to z lichwą typową, tj. nieskończonem umarzaniem kapitału i płaceniem procentu w postaci stałej podwyżki komornego.

O niewłaściwości stosunku procentowego w gratyfikacyach pisaliśmy już kilkakrotnie. Obecnie nowa uchwała zebrania ogólnego instytucyi powyższej daje nam powód jeszcze raz do wystąpienia przeciwko takiemu systemowi. Stosunek procentowy należałoby zachować, ale w kierunku odwrotnym, tj. im mniejsza jest płaca, tem względnie powinna być większa gratyfikacya. Tymczasem u nas dotąd nietylko nie zrobiono żadnych kroków w tej mierze ku lepszemu, ale nawet pracownicy najniżej płatni są zupełnie wykluczani z listy kandydatów do zapomóg. Kto pobiera np. rs. 19—15 miesięcznie, ten nie ma prawa do gratyfikacyi, pomimo że go nędza gnębi. System taki rażąco się zaznaczył w liście nagród dla pracowników kolei Wiedeńskiej z powodu pięćdziesięcioletniego istnienia tego przedsiębiorstwa. Ponieważ sprawa tak doniosła nigdy nie będzie rozstrzygnięta na korzyść pracowników prywatnie, np. za pośrednictwem wniosków, wygłaszanych na zebraniach, należałoby tedy poszukać drogi skuteczniejszej: opracować stosowny memoryał i przesłać sferom właściwym w celu uświęcenia go, jako przepisów obowiązkowych. Tylko taki nacisk prawny może tę doniosłą sprawę uregulować należycie. Najwłaściwszym pośrednikiem w tej mierze byłoby Towarzystwo przemysłu i handlu.

KRONIKA POZNAŃSKA.

O nowy fundusz na cele kolonizacyjne. — Zimna woda prasy wolnomyślnej i skutki gaszenia ognia hakatyzmu. — Żądanie zniesienia komisyi generalnej. — Utrudnienia. — Tranzakcye prywatne jako czyn obywatelski. — Pierwiastki patryotyzmu hakatystów.—Nowa forma walki ekonomicznej.—Rola sądów pruskich. — Procesy prasowe. — Kara za... nieznajomość języka niemieckiego. — Biuro obrony. — Odporność Mazurów i Litwinów. — Ósmy zjazd lekarzy i przyrodników polskich. — Broszura hakatysty. — Temat do operetki.

Jak wiadomo, na cele kolonizacyi niemieckiej w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich przed jedenastu laty sejm pruski uchwalił fundusz stumilionowy. Ten olbrzymi taran miał rozbić mury żywiołu polskiego, i przez wyłomy wpuścić do naszego narodu „nosicieli kultury.“ Dotąd przy usilnej pracy od dość gwałtownych uderzeń stopniało $^2/_3$ tego tarana, tj. przeszło 70 milionów. Pozostały, prócz $^1/_3$, jeszcze odłamki roboty: co rok kilka milionów marek za osady rozparcelowane i wzmocnione żywiołem niemieckim.

Dotychczasowe jednak wyłomy nie zadawalają rycerzy, idących pod znakiem krzyżackim. Zbyt opasłe, napęczniałe owocami rabunku ich postacie nie mogą się przecisnąć przez szczeliny dość ciasne, z mozołem poczynione w murze polskości. Więc podano wniosek stworzenia nowych taranów w postaci uchwalenia funduszów. Oczywiście można twierdzić na pewno, że rząd chętnie postara się o kredyt na ten cel. W te wielkie ogniska zapału krzyżackiego, którego zadaniem i dążnością jest tępienie innych narodowości, czasem uczciwa prasa niemiecka leje strumienie wody ze swych sikawek. Ognia nie gasi, ale przytłumiając go na razie, wytwarza dym i czad duszący.

Strumieniem takim są słowa i dane następujące jednego z organów niezaślepionych fanatyzmem wszechgermanizmu: „Cóż wielkiego zrobiła ta komisya? W ciągu lat 10 (do 31 marca r. 1896) wydała 70 milionów marek, za które nabyła 92,724 hekt. ziemi, z tego dostało się w ręce kolonistów niemieckich 36,470 hekt. (około 40%). Resztą włada zarząd państwowy. Osiedlono tylko 1,975 kolonistów, w tej liczbie 808 z W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich. W obu tych prowincyach powiększono ogółem liczbę Niemców o 10,000. Jest to cyfra nadzwyczaj mała, zwłaszcza przy zestawieniu jej z tym faktem, że w ostatnich wyborach do parlamentu oddano na kandydatów polskich 228,531 głosów; a więc nowe kolonie niemieckie, utworzone w ostatnich dziesięciu latach, nie stanowią nawet 1% w stosunku do żywiołu polskiego w obu prowincyach kolonizowanych. Dodać jeszcze i to należy, że żywioł ten zwiększa się najmniej o 1% rocznie.“

Sikawka, wyrzuciwszy tę skromną ilość wody, przestała działać, a dym i czad ściele się po niwach polskich i duszność moralną wytwarza. Zaciekli hakatyści żądają zniesienia w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich komisyi generalnej, której owocem, jak wiadomo, są włości rentowe. Instytucya ta, jak twierdzi krzyżactwo współczesne, tamuje działalność komisyi kolonizacyjnej, gdyż z szeregu nabywców osad rentowych nie może usuwać Polaków. Czy *nie może* istotnie? Praktyka mówi wręcz co innego: W ostatnich latach pod naciskiem opinii i wrzawy hakatyzmu, komisya ta robi coraz większe utrudnienia Polakom-nabywcom pod rozmaitymi pozorami, które przecież zawsze mogą znaleźć ludzie złej woli, gdy pragną.

Niektórzy z naszych korespondentów, odzwierciedlających stan umysłów zaniepokojonych pewnej części społeczeństwa— utrzymują, że najskuteczniejszym sposobem zgnębienia i stłumienia żywiołu polskiego na wschodnich kresach monarchii byłoby wykupienie większej własności ziemskiej. Niewątpliwie taki środek byłby klęską wielką, ale w obawach tych jest dużo przesady. Niemniej jednak piętnować publicznie trzeba „sprzedawczyków,“ których p. Rabski tak wybornie scharakteryzował w swojej sztuce p. t. „Przebłagany,“ jak również należy zaznaczać fakty nabywania ziemi przez Polaków zamożniejszych, chociaż zaprawdę, smutne to jest, że interes czysto prywatny, tranzakcya przedsiębiorcy, nabiera charakteru czynu obywatelskiego, doniosłego dla kraju. Czynem takim przed kilku tygodniami zjednali sobie uznanie pp. Skrzydlewski z Ocieszyna i Józef Moszczeński z Jeziorek, którzy za sumę

— No, no! Nie bardzo sobie pozwalaj! Rozpuściła język! — mitygnje ją nieśmiało osiedleniec, znać, że tylko dla zachowania przyzwoitości; — zamilkłabyś.

— Chcę i mówię. A nie podoba się—tą choć zaraz, z prawdziwą przyjemnością. Wezmę fartuch i pójdę. Małoż to was takich, bezkoszulowych! Poszukaj sobie innej, niemej!

— Tfu, ty! Wrzód—baba!—uśmiecha się chłop zawstydzony; — prawdziwy wrzód.

— A kiedy wrzód, to i zejść może. Rzekłam — niezadługo!

— A dosyć już! Słowa powiedzieć nie można.

— Nie zaprzągłeś, więc nie poganiaj! Ja ci nie koń, a ty mi nie furman!

— Tfu! ty!

— Nie pluj. Wszystko wyplujesz. Ot, zobaczę, jak pluć będziesz, gdy do nadzorcy pójdę na pożycie...

— W którym transporcie, matko, przybyłaś? — zwracam się do niej, ażeby przerwać tę dziką, głupią i oburzającą scenę.

— Piątego roku*).

— A za cóż tu przyszłaś?

— Za co? Za cóż baby przychodzą? Za męża!

— Czy odrazu dostałaś się do tego chłopa na pożycie?

— Gdzie tam odrazu! Już trzeci. Zmieniam trzeciego.

— Cóż tamci niedobrzy byli? Nie podobali się?

— Naturalnie! Gdyby byli dobrzy, nie porzucałabym. Byli więc źli, skoro porzuciłam. Ludzi tych, bosonogich, jest dużo, aż do zbytku! Rzecz nietrudna. Pójdę do dozorcy osiedlenia: „nie chcę z tym żyć; proszę dać innego.“

— A jeżeli nie da? Jeżeli do więzienia zamkną?

— Nie posadzą! Niema obawy! Naszych sióstr tutaj nie bardzo dużo. A tych zatraconych każdego roku całe stada pędzą. Każdy weźmie z przyjemnością...

Wprost było już mi nieznośnie słuchać tej zuchwałej cynicznej paplaniny, tego natrząsania się baby, opuchłej ze snu i lenistwa.

— Popsułeś swoją kobietę — rzekłem osiedleńcowi na odchodnem.

— Wszystkie one tutaj takie, wielmożny panie! — odpowiedział tym samym głosem błagalnym

— Mnie psuć nie trzeba. Sama popsuta jestem — doleciał głos z izby.

Dałem rubla osiedleńcowi.

— Pokornie dziękuję, wielmożny panie — z jakąś niezwykłą radością powiedział chłop.

— Posłuchaj! Powiedz, tylko szczerze. Co zrobisz z tym rublem? Przepijesz, czy kobiecie co kupisz?

Chłop chwilę postał z miną niezdecydowanego.

— Tak szczerze powiedzieć? — zaśmiał się — pół rubla przepiję, a za pół jej, niegodziwej, gościńca kupię.

* * *

Po kilku dniach przechodziłem tam znowu. Naraz słyszę straszny krzyk.

— Ludzie! Zabija! Zmiłujcie się, zabija, zbój! Aj, aj! Sił niema! Kosteczki całej nie zostawił! Zarżnie! — rozlegał się na całej ulicy przeszywający głos kobiecy.

Sąsiedzi powychodzili z chat, patrzyli, „kto wrzeszczy.“ Zaspokoiwszy ciekawość, machali ręką i wracali do domu:

— Znowu się zaczęło!

Na przyspie siedziała płacząca kobieta, spuchnięta od snu i lenistwa.

Obok stał jej chłop i uspakajał.

Pomyślałem na razie, że stracił cierpliwość i „dał nauczkę“ swojej towarzyszce życia.

Ale zbliżywszy się spostrzegłem, że to było co innego.

Kobieta siedziała z włosami rozczochranymi, ale wrzeszczała jakoś spokojnie, zupełnie obojętnie i pocierała pięściami suche oczy.

Spostrzegłszy mię, umilkła, wstała i poszła do izby.

*) 95-go. Kobiety przysyłane są zwykle jesienią.

1,200,000 marek nabyli dobra: Golina, Golinki i Stefanowo, od dymisyonowanego rotmistrza, p. Briesena. Są to dobra piękne i bogate w całem słowa tego znaczeniu. Posiadają dworzec kolejowy, kościół, kolejkę żelazną, szosę, pocztę, wielką gorzelnię parową, szkołę, duży i cenny inwentarz itd. Tego „zdrajcę" hakatyzmu prasa krzyżacka obrzuciła błotem i pianą wściekłości. Ale praktyczny przedsiębiorca, zgarnąwszy do trzosa szerokiego piękną sumę, może sobie drwić z wściekłości tych współbraci, którzy w gruncie rzeczy mają te same pierwiastki patryotyzmu: pieniądz. Wszak hakatyzm jest nową, wyborną formą walki ekonomicznej, upozorowanej wyższymi celami...

Pisaliśmy już kilkakrotnie o służalczości i stronności sądów pruskich, o ich samowoli i wdzieraniu się do spraw, tudzież objawów życia, leżących po za obrębem działalności tych instytucyj. Robią one w dalszym ciągu politykę na własną rękę. Szerzą, wzmacniają ideje, pojęcia, niezgodne ze sprawiedliwością i obowiązkami sądownictwa. Najjaskrawiej polityka sądów zaznacza się w procesach prasowych. Kiedy na zebraniu niemieckiego stronnictwa wolnomyślnego w Norymberdze przed kilku tygodniami p. Wagner wygłosił mowę, potępiającą działalność hakatystów, ogłosiły ją niemal wszystkie niemieckie pisma wolnomyślne — bezkarnie. Ale gdy *Gazeta Grudziądzka* przedrukowała tę mowę, wytoczono jej proces z inicyatywy pruskiego ministra spraw wewnętrznych. Nie koniec na tem: W Inowrocławiu Izba karna skazała redaktora *Dziennika Kujawskiego*, p. Gortyga, na dwa miesiące więzienia za obrazę majora pruskiego z Ostrowa. Obrazą tą była korespondencya z Kalisza, w której zaznaczono nadużycie trunków przez owego majora!

Koroną sprawiedliwości sądów pruskich jest skazanie na dzień aresztu pewnej kobiety w Mysłowicach na Szlązku, za to, że nie umiała przed sądem złożyć zeznań po niemiecku! A więc, jak widzimy, kapłani sprawiedliwości są żarliwymi sługami hakatyzmu. Wobec tego narzędzia krzyżackiego pewne ma znaczenie wniosek gazet poznańskich i prowincyonalnych, ażeby utworzyć w Poznaniu biuro obrony prawnej, tudzież połączone z niem biuro informacyjne i prasowe. Służyłoby ono swojemi radami i pomocą prawną wszystkim, którzy ucierpieli przez hakatyzm i jego wierną służbę na różnych polach. W razie niezamożności poszkodowanego pomoc powinna być bezpłatna.

Pod naciskiem prześladowań pruskich, śród Mazurów rozwija się coraz bardziej poczucie konieczności usilnej obrony. Daje się to spostrzegać szczególnie przy wyborach. Taką samą dążność widzimy i śród Litwinów. Przed kilku tygodniami na odbytem w Rusiu zebraniu litewsko-konserwatywnego Towarzystwa wyborczego postanowiono w przyszłych wyborach parlamentarnych i sejmowych postawić samodzielnych kandydatów litewskich. Bodźcem jest głównie ta okoliczność, że żadne inne stronnictwo nie chce bronić języka litewskiego w kościele i szkole.

Termin ósmego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu oznaczono na 12—14 lipca r. p. Pierwotnie projektowano zwołać na maj; odłożono jednak, ażeby umożliwić udział lekarzom i przyrodnikom z dalszych stron. Do opracowania programu szczegółowego niezbędne są wczesne wiadomości o referatach i kwestyach, przeznaczonych dla zjazdu. Z tego więc powodu komitet wzywa przyszłych uczestników do nadsyłania deklaracyj odpowiednich. Tematy powinny być przesłane na ręce sekretarza generalnego najpóźniej do 1 marca r. b. Tytuły odczytów w sekcyach osobnych można przesłać na ręce gospodarzy, mianowicie: 1) medycyny teoretycznej, dr. Batkowskiemu, ul. Wiedeńska nr. 1; 2) medycyny praktycznej — dr. S. Jerzykowskiemu, ul. Wilhelmowska nr. 18; 3) chirurgii — dr. Drobnikowi, ul. Św. Marcina nr. 74; 4) ginekologii i położnictwa — dr. H. Święcickiemu, pałac Działyńskich; 5) okulistyki — dr. B. Wicherkiewiczowi, ul. Św. Marcina nr. 6; 6) nauk przyrodniczych i ścisłych — dr. Karchowskiemu, ul. Berlińska; 7) nauk przyrodniczych opisowych — dr. F. Chłapowskiemu, ul. Wiktorya nr. 27 w Poznaniu.

Szerzyciele niemczyzny nie ustają w pracy publicystycznej. Przed kilku tygodniami ukazała się w handlu księgarskim broszura p. t. „Z naszych kresów wschodnich." Autor płacze nad stałem zmniejszaniem się Niemców w Poznańskiem i rozpaczliwie ręce załamuje na widok wzmagającego się żywiołu polskiego. Hakatysta szuka przyczyn na gruncie ekonomicznym: Oto robotnik polski jest tańszy i pracowitszy i skutkiem tego Niemiec nieborak ch leba znaleźć nie może we własnej ojczyźnie, pod opieką bractwa trzech liter widmo głodu widzi przed sobą. A kupiec lub przemysłowiec nieszczęśliwy? Gnębią ich Polacy, zabierają im klientelę. Nadomiar złego ci Polacy, których ojcowie słynęli z rozrzutności, zaczynają być oględnymi, oszczędzają, ażeby się nie dać zjeść głodnemu Niemcowi. Towarzystwo pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego zwiększa szeregi inteligencyi polskiej, która świadomie popiera kupców i przemysłowców polskich. Wogóle Polacy mają wysoce rozwinięte poczucie samowiedzy narodowej, czego u Niemców ani poświeć. To są główne powody osłabienia żywiołu niemieckiego w ziemiach polskich. Nie wiem, na jakich czytelników jest obliczony ten efekt humorystyczny. To tylko pewna, że hakatyści nie przebierają i w środkach, i w ludziach, że każdy, kto tylko umie pluć, wymyślać, kłamać i... rabować, niewątpliwie będzie przyjęty z otwartemi ramionami przez współbraci stowarzyszonych pod głośnem hasłem: „dla narodu" i pod cichem: „dla własnej kieszeni." Ten patryotyzm kieszonkowy możeby się nie rozrósł tak szeroko, gdyby nie był przykryty starannie połatanym i zbutwiałym płaszczem patryotyzmu narodowego.

Na zakończenie musimy podać chociaż pobieżną notatkę o wielce znamiennym procesie, który się toczył przed Izbą karną sądu ziemiańskiego w Poznaniu przeciw majstrowi ślusarskiemu, p. Stanisławowi Brzozowskiemu. Zarzucono mu, że ozdabiając dom swój podczas procesyi Bożego Ciała chorągwią biało-czerwoną, przekroczył przepis policyjny, za co miał zapłacić karę policyjną w wysokości 30 marek. Obrońca dowiódł, że karze podlega każdy, kto wywiesza chorągwie nie uznane w niemieckich państwach związkowych; tymczasem chorągwie biało-czerwone są sztandarem Bremy i Hesyi. Skutkiem takiego wyjaśnienia sąd znalazł się w niemałym kłopocie i uchwalił zawezwać rzeczoznawcę w sprawach heraldycznych, radcę archiwalnego, d-ra Prümersa! Czyż nie wyborny temat do operetki?!

et.

— Ach ty, wrzód — baba! Prawdziwy wrzód! — mruczał chłop zmieszany.

— Cóż to? Dałeś jej może naukę? Pobiłeś?

— Gdzież tam! — z rozpaczą odpowiedział — palcem nie tknąłem! Oho, tknąć ją, tego dyabła! Wszystko z powodu obuwia. Wyjmij i daj jej kamasze. „Bo—powiada — pójdę na pożycie do dozorcy." Tfu, ty! Płacze i wrzeszczy na całą ulicę, żeby wszyscy myśleli, że ja tak ją katuję i powiedzieli to panu dozorcy osiedlenia. A skąd ja jej, podłej, wezmę kamaszy?

To jest typowa zwykła „rodzina" sachalińska.

„Towarzysz życia."

— Panie! Wielmożny panie! — słyszę z tyłu jakiś głos.

Zatrzymałem się.

Podbiega bez czapki zadyszany osiedleniec. Znać, że biegł za mną dość długo.

— Ja pana wszędzie szukam, biegam!

— Czegóż sobie życzysz?

— Pan raczył szukać takiej?..

Tu wymienił mi nazwisko jednej z zesłanych do ciężkich robót, której zbrodnia zaciekawiła mię.

— Tak! No, cóż?

— Pozwoli pan. Ona teraz w domu.

I zapytuje już głosem przyciszonym, bardzo poufałym:

— Czy pan każe do siebie ją przysłać, czy sam pójdzie?

A na twarzy maluje mu się zupełna gotowość do wszelkich usług.

— Jak ci się zdaje? Na co ją żądam?

Osiedleniec uśmiecha się całą twarzą. „Żartowniś pan!" — myśli sobie zapewne.

— Wiadomo, na co panowie żądają.

Jaka szkoda, żem nie artysta-malarz! Byłbym pochwycił w owej chwili tę niegodziwą fizyognomię!

— Jakiż ciebie łączy z nią stosunek, że się podejmujesz takiego pośrednictwa?

— Ja?

— Tak, ty!

Osiedleniec drapie się w głowę.

— Jestem towarzyszem jej życia!

— Jakże ty mogłeś... Nie wiem nawet, jak cię nazwać...

— Zowią Michałem!

— Jakże ty... taki Michale... Jakże ty możesz swoją własną towarzyszkę sam...

„Michał" patrzy na mnie ze zdziwieniem i ironią. Skąd, myśli, taki się wziął, który żadnych zwyczajów nie zna?

— Niech pan będzie spokojny — mówi z uśmiechem — w tych stronach jest to przyjęte. Nietylko towarzyszkę lub żonę, ale nawet córkę zalecają.

I kończy już całkiem poważnie:

— Żreć trzeba, wielmożny panie!

— Więc jakże? Życzy sobie wielmożny pan?

Przykro patrzeć na tę postać; ale rozmowa ciekawa.

— Słuchaj! Zapłacę ci, wszystko jedno, nie za to, lecz za co innego: powiedz mi otwarcie, gdzie była twoja towarzyszka, gdym przychodził pytać o nią? Oto pieniądze.

— Pokornie dziękuję!

— Słuchaj, tylko otwarcie!

— To zawsze można. Proszę nie wątpić. Gdzież ona być mogła? Na zarobek chodziła...

— I tak żyjecie?

— Tak żyjemy. Ale, panie, czy tylko my? Naturalnie, z początku może przykro; ale można się przyzwyczaić. Proszę przebaczyć! Pokornie dziękuję. Wypiję za zdrowie pańskie.

Oddaliwszy się trochę, zawołał:

— Jeżeli co będzie potrzeba, proszę zawołać Michała. Zawsze z całą gotowością.

Oto również niemniej typowa, zwykła „rodzina" sachalińska.

(C. d. n.).

Z NIEMIEC.

Berlin, 22 grudnia.

Wzrost reakcyi. — Porównanie z przed stu laty. — Praca dzieci. — Co one robią, jak żyją i jak się uczą.

Gdy dziś z progu roku 1898 rzucimy spojrzenie wstecz na dorobek jego poprzednika, to ogarnia nas zdziwienie na widok upadku moralnego państwa, reprezentującego w świecie politycznym „naród myślicieli i marzycieli.“ Od czasu ustąpienia Bismarcka nigdy jeszcze reakcya tak cynicznie nie złorzeczyła wymaganiom etyki, oraz hasłom wolności i tolerancyi, jak w roku ubiegłym. Nie tu miejsce robić bilans masy konkursowej etyki niemieckiej; nie dziś pora babrać się w tem błocie brutalności i sobkostwa. Prawdopodobnie nieraz będziemy mieli sposobność poruszać ten temat, albowiem kurs reakcyi wskutek zawikłań politycznych na Wschodzie podskoczył w Niemczech w górę. „Bürger“ przy zagraniu pobudki wojennej chowa się z drżeniem pod pierzynę, oddając swą kasę i wolność pod opiekę junkrów i ich proroka — Stumma. Stara to zresztą w Niemczech historya, iż zawadyacy opozycyjni przy odgłosie tryumfalnych fanfar wobec widma zaborów i łupu pokornieją jak baranki i z entuzyazmem wtórują hymnom patryotyczno-szowinistycznym. Ci sami panowie, co w r. 1848 paradowali w czerwonych krawatach i plwali na wszystkie strony frazesami oburzenia, często słali się oczarowani powodzeniem Bismarcka pod jego nogi, a nawet pobierali od niego jałmużnę. (Wspomnę tu tylko znanego Arnolda Bugego). Wracając do naszego remanentu, wystarczy tymczasem wskazać, iż w porównaniu z r. 1797 miniony nie może wytrzymać krytyki. Przed stu laty Herder ogłosił swe „Listy o szerzeniu humanitarności“; społeczeństwo ówczesne napawało się czytaniem Schüllerowskich „Listów o wychowaniu estetycznem,“ wydanych w r. 1795; Wilhelm Humboldt określił wtedy po raz pierwszy zadanie państwa ze stanowiska etycznego i ogólno-ludzkiego. Ten sam probierz zastosował w owym czasie Schleiermacher do religii. Beethoven pracował już wówczas nad swemi symfoniami, z których ostatnia kończy się nieśmiertelnym hymnem na cześć braterstwa ludów. Rok 1897 zaś przyniósł nam „Ausrotten“ w rozmaitych tonach i z rozmaitemi waryacyami. Muszę atoli w imię zasady *suum cuique* przyznać Niemcom, iż jakkolwiek gwałcą prawa innych społeczeństw, zwłaszcza mających nieszczęście tkwić w ich organizmie politycznym, a w każdym obcym narodzie upatrują wroga, którego odsądzają od czci i wiary i chcieliby obedrzeć ze wszystkich zdobyczy kulturalnych; jakkolwiek kują w chwili obecnej kilka praw wyjątkowych, niepodobna zaprzeczyć, iż bądź co bądź przejmują się coraz więcej ewangelią opieki nad maluczkimi. Ten tryumf haseł społecznych jest wynikiem tych silnych kataklizmów ekonomicznych, które opisaliśmy w poprzedniej korespondencyi. To szerzenie się żądań braterstwa i równości ekonomicznej w obrębie społeczeństwa niemieckiego jest koniecznością historyczną, z którą liczą się sfery wpływowe, czego najwymowniejsze świadectwo złożył były minister Berlepsch, podjąwszy się wydawnictwa pisma, przychylnego sprawie robotniczej. W tym prądzie należy szukać źródła, skąd wyjdzie może odrodzenie całego społeczeństwa niemieckiego; sfery ludowe, walczące o równouprawnienie ekonomiczne, wzniosą się może do wyprowadzenia najgłębszych wniosków ze swego programu emancypacyjnego. Że ruch ten nie zadowoli się czczymi frazesami, widać z osiągniętych już przezeń rezultatów. Przedewszystkiem uderza nas imponujące prawodawstwo robotnicze, o którem nie będę się dziś rozwodził, gdyż pisało o niem obszerniej w swoim czasie inne pióro. Prawodawstwo to zapuściło tak głębokie korzenie, iż dotychczas musiały prysnąć jak bańki mydlane wszelkie skierowane przeciwko niemu zamachy wsteczników. Obecnie przystąpiono do rozciągnięcia opieki państwowej nad grupą maluczkich we właściwem tego słowa znaczeniu, nad dziećmi. Ostatni spis ludności przejął pod pewnym względem zgrozą wszystkie warstwy społeczeństwa. Organy urzędowe ogłosiły bowiem, iż na podstawie cyfr statystycznych liczą Niemcy przeszło 250 tysięcy podrostków i podlotków, trudniących się na własną rękę zawodem i młodszych od lat 10; uznano przytem za potrzebne dodać tę niedwuznaczną uwagę, iż obliczenia te szwankują pod względem wiarogodności i stanowią tylko niedokładną odbitkę rzeczywistości. Przed kilku laty prawodawstwo położyło kres pracy dzieci w fabrykach; wyzysk ten przeniosł się przeto do innych dziedzin przemysłu. Pierwsi zaprotestowali przeciwko temu barbarzyństwu nauczyciele, których związek zwrócił się z ankietą do wszystkich swych członków, prosząc o możliwie szczegółowe dane. Napływające odpowiedzi rzucają jeszcze smutniejsze światło na wspomniane zjawisko. W dwu dziedzinach, zdala od kontroli publicznej i rządu siły dziecięce padają ofiarą spekulacyi: w przemyśle domowym i rolnictwie. Zwłaszcza ten ostatni fakt zadziwił wszystkich, gdyż agraryusze od dawien dawna umywając swe ręce, wytykali przemysłowi miejskiemu burzycielski wpływ na rodzinę biedaków. Okazuje się wszakże, iż cukrownie i gorzelnie zatrudniają tysiące dzieci; zwłaszcza przy kopaniu kartofli znajduje praca dziecięca wielkie zastosowanie. Przemysł domowy posługuje się wątłemi siłami maluczkich najczęściej w wypadkach robót prostych, lecz jednocześnie nużących swą monotonnością, jak np. przy sklejaniu torebek papierowych. Oprócz tego chłopcy są używani do roznoszenia gazet i pieczywa, drobnego handlu ulicznego i rozmaitych upokarzających usług w restauracyach i szynkach. Pomyślmy tylko na chwilę, co to znaczy do późnej nocy ustawiać kule na bilardzie lub sprzedawać na ulicy zapałki o mrozie i głodzie, a wtedy zrozumiemy, jak zbawiennie oddziaływa zajęcie tego rodzaju na zdrowie chłopca. Lub przenieśmy się myślą w sferę „nocnego Berlina,“ a łatwo wyobrazimy sobie, jak wzniosłe zasady moralne zaszczepia w sercu dziecka widok półświatka, kokot i podchmielonych amatorów mięsa kobiecego. Jak dowodzi statystyka małoletnich przestępców w Niemczech, około 70% młodocianych zbrodniarzy trudniło się poprzednio własnym zawodem. Oczywiście, gdy wszczął się hałas przy wyjściu na jaw tych faktów, pewien odłam społeczeństwa oburzył się z powodu gwałcenia wolności osobistej: bo jakiem prawem ludzie wtrącają się do spraw przemysłowców! Dziecko musi być wolne i rozporządzać swemi zdolnościami podług swego upodobania. Cóż poczną biedni rodzice, kiedy zakaz prawodawczy pozbawi ich podpory zarobkowej dzieci? Oczywiście przemilczano tu fakt, iż przeciętny podrostek zarabia 10 fen. dziennie. Nauczyciele domagają się reformy, gdyż zdaniem ich szkoła obowiązkowa chybia swego celu, dopóki dzieci wskutek czuwania przez całą noc i zmęczenia zasypiają nad książką i. nie są w stanie skupić uwagi na wykładzie. Gdy uczeń zamyka oczy, widzi przed sobą nie książkę, ale damy o szeleszczących sukniach i kapeluszach z wielkiemi piórami, a w ich towarzystwie panów, którym sprzedaje zapałki, wydając przy tej sposobności mniej reszty lub monetę fałszywą, aby ćwiczyć się za młodu w zasadach etyki stosowanej; majaczeją mu się również rozgorączkowani pijacy bez surdutów przy bilardzie i goście restauracyjni, zalecający się do kelnerek; wreszcie zdaje mu się, iż roznosi gazety i gramoli się z piętra na piętro o zmierzchu porannym, kiedy ludzie „porządni“ marzą spokojnie w objęciach Morfeusza, a on niewyspany i zziajany biega i pracuje, aby potem przez cztery godziny borykać się ze snem w szkole tuż pod okiem nauczyciela uzbrojonego podług prawideł pedagogiki niemieckiej, w grubą kantówkę, która ma odgrywać rolę miecza Damoklesa. W tych dniach sam kanclerz rozesłał do urzędów kwestyonaryusz w tej samej sprawie. Przez pomyłkę lub może w imię zasady, iż ręka rękę myje, pominięto rolnictwo w szeregu zawodów, na które należy położyć szczególny nacisk przy przeprowadzaniu badań. Jednocześnie pewna grupa ojców miasta postawiła w magistracie wniosek, aby dzieciom z rana przed rozpoczęciem lekcyi dawano śniadanie, powołując się na wykazy nauczycieli, podług których spora część dziatwy na czczo przyjmuje codzień sakrament nauki. Niewielka byłaby to szkoda zubożyć o jakiś milion szkatułę miejską, szafującą pokaźnemi sumami na pomniki osobom, o których zasługach potomność z pewnością niawiele potrafi powiedzieć. Wnioskodawcy powoływali się na Szwajcaryę, gdzie podobno w wielu miastach zaprowadzono już ten zwyczaj... Oczywiście bydło prasy brukowej zaczęło ryczeć na cały głos, dowiedziawszy się o tej „próbie rewolucyjnej.“ Stanęło na tem, iż rozkazano rozpisać ankietę co do ilości dzieci, przychodzących bez śniadania do szkoły. Jednocześnie,założono tu na wzór „Towarzystwa opieki nad zwierzętami“ Stowarzyszenie ochrony dzieci. Na mocy przyrzeczeń, danych przez ministrów, można przypuszczać, iż państwo nie zawiesi sprawy na kołku, wiedząc, iż samopomoc w tych wypadkach może zdziałać tyle, co minister Münchhausen, gdy tonąc chciał się wyciągnąć za warkocz.

M. F.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Materyał dla satyry.

Wielka rodzina nieponiów jest tak stara, jak ludzkość. Występowała ona zawsze i licznie od najpierwszych chwil istnienia człowieka na ziemi. Zdaje mi się wszakże, że ona w naszych czasach wypuściła ze swych korzeni nowe odrostki. Mam zaś na myśli szczególnie nieponia altruistycznego. Rozpoznać go i wyosobnić bardzo łatwo. Jeśli ktoś wsuwa rękę do kieszeni przechodnia, otwiera wytrychem mieszkanie lub okrada powierzoną mu kasę, to działa wyłącznie w interesie własnym. Jest to rzezimieszek egoista, który pragnąc zdobyć łup, nie myśli wcale o niczyjej korzyści. Co innego przejęty „miłością bliźniego.“ Bliźnimi są dla niego wszyscy, należący do jednego z nim bractwa, sfery, warstwy, stanu. Jeżeli więc on popełnia jakiś czyn niemoralny, to ma na względzie interes ogółu swoich współtowarzyszów. Oto np. właściciel majątku ziemskiego uznaje, że jego parobcy pobierają zbyt niską zapła-

tę, ale on nie podniesie jej dlatego, że oddziałałby na żądania czeladzi swoich sąsiadów, którzy jej nie chcą lub nie mogą dawać więcej. Poważny fabrykant nie zniży ceny towaru, ażeby nie zaszkodzić innym, którzy go wyrabiają. Bogaty lekarz nie będzie udzielał porady darmo, gdyż zniżyłby dochody kologów. Ta nić stanowej „miłości bliźniego" przewija się przez wszystkie warstwy społeczne, a dziś wyraźniej, niż kiedykolwiek, gdyż one bardziej uświadomiły sobie łączność swych interesów. Naturalnie jej przedstawiciele, obrońcy i stróże stoją na rozmaitych szczeblach etycznych, począwszy od zwyczajnego nicponia, aż do ideologa solidarności klasowej.

W literaturze naszej nie spotkałem tego typu, podczas gdy w życiu nastręcza on się na każdym kroku. Powieść nasza dotychczas przedstawia swoich bohaterów w oderwaniu od ich związków z grupami i nie podkłada pod nich tła rodzajowego. A przecież rzeczywistość bardzo wyraźnie im to tło wskazuje. Literat może nie wiedzieć, co się dzieje w przemyśle lub kupiectwie, ale powinien wiedzieć, co się dzieje w piśmiennictwie. A czyż on nie dostrzega, że dziennik, stojący na straży interesów ziemiaństwa lub mieszczaństwa, systematycznie wysławia swoją sferę, zaciera jej grzechy i podrabia cnoty, lichym jednostkom przysądza wielkie zasługi, a z drugiej strony obniża wartość społeczną i moralną członków innej klasy, denuncyuje ich i spotwarza. Jeszcze przed laty 25 nie mieliśmy w prasie tak wyraźnie zaznaczonych organów stanowych, wszystkie jednako odzywały się o wszystkich; dziś pisma przyczepiły swój żywot i przykroiły swoją etykę do rozmaitych grup społecznych. Mają one śród sprzętów redakcyjnych osobne kadzielnice dla *swoich* i osobne maźnice ze smołą dla *obcych*.

A la guerre comme a la guerre, a ponieważ toczy się walka między żywiołami społecznymi, więc nic dziwnego, że one skupiają się i używają wszelkich środków, mogących im zapewnić zwycięstwo. Stwierdziwszy jednak tę konieczność rozwoju, duch ludzki, który nie uznaje w niej ideału życia człowieczego i widzi jej śmieszność lub ohydę, powinien stanąć po za polem tych zapasów i jako filozof lub moralista uwydatnić ich pobudki i cele. Jest to właśnie piękne zadanie głęboko myślącego satyryka, którego pragnęlibyśmy wywołać na widownię naszych czasów. Znalazłby on się śród takiej obfitości nieocenionego materyału, że nie zdołałby go zużytkować całkowicie. Byłby ciągle otoczony mnóstwem postaci w arlekińskich strojach, z przezroczystemi maskami, któreby mu tłoczyły się pod pióro. A jedna od drugiej doskonalsza. Niedawno miałem prawdziwą rozkosz słuchać uroczystej mowy pewnego czcigodnego obywatela, który przenosząc wzrok z rachunku nadwartości na dowód frachtowy z posyłki towaru do Tyflisu, prawił ze szczerym zapałem: „Otwierają się przed nami szerokie widnokręgi, na których nasza twórczość może bez przeszkody rozpostrzeć swe skrzydła.. Trzeba raz wyjść z ciasnego i błędnego koła tradycyi, trzeba zaprzestać popełniania na sobie samobójstwa, trzeba" itd. Chociaż mnie te słowa głęboko wzruszyły, zrozumiałem wyraźnie, że zacny obywatel granice tych widnokręgów wytykał filiami swego geszeftu, a samobójstwem nazywał przebijanie nożem własnej kieszeni. Wyszedłszy od niego, pomyślałem sobie:

Tak, szczęście nasze zależy od tego, czy on dostanie koncesyę na towarzystwo akcyjne.. Och, jakże jabym w tem towarzystwie chciał być satyrykiem... Miałbym największą dywidendę od swoich akcyj.

Heine mówi w jednem z pism swoich: Nie sądźcie, ażeby mnie gniewała lub martwiła ludzka głupota, niegodziwość i obłuda. O, nie, to są moje towary, które leżą w pakach, a ja ich właściciel przechadzam się z dumą między niemi.

Nasz Heine byłby dziś bardzo bogaty i posiadałby olbrzymi magazyn, zapchany temi pakami.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

ZARYS DZIEJÓW FILOZOFII PIERWOTNEJ.

I.

Podług powszechnego twierdzenia, filozofia naukowa i poglądy kosmiczne, właściwe systemom teozoficznym, znajdują się w rozterce wzajemnej. Na poparcie tego przypominane bywają stosy, na których palono Giordana Bruno i innych heretyków myśli, prześladowania Galileuszów i inne zdarzenia podobnego rodzaju.

Atoli jeśli oderwiemy wzrok swój od widnokręgów chwili dzisiejszej i cofniemy się myślą w daleką przeszłość; jeśli od ognisk cywilizacyi zwrócimy się do ludów dzikich, które w teraźniejszości odtwarzają nam stan umysłowy naszych przodków z wieków barbarzyństwa — inny obraz przedstawi się oczom naszym. Antagonizm, tak ostro uwydatniający się w życiu umysłowem szczepów, przodujących rodowi ludzkiemu, tam się zaciera, wiedza i filozofia nie wyodrębniły się jeszcze od teozofii i stanowią jedność. Dane etnograficzne, traktowane w sposób należyty, wykażą nam, że religia pierwotna przedstawia jedynie pierwszy szczebel tego samego pochodu rozwojowego, którego najwyższym, ostatnim, jest filozofia naukowa. Obie powstały i istnieją, ażeby uczynić zadość tej samej potrzebie — poznania wszechświata i ujarzmienia sił przyrody. Różnica pomiędzy niemi tkwi w tem, że są tworami różnych formacyj dziejowych i zjawiły się na podłożu innych zasobów bytu materyalnego.

Udajmy się do Zuńczyków, ludu, mieszkającego w N. Meksyku.

Według nich, życie, oraz wzajemne oddziaływanie, tajemnicze i transcendentalne, przenika całą przyrodę. Podstawą tej filozofii kosmicznej i pojmowania wogóle stosunku pomiędzy siłami przyrody, istotnemi i urojonemi, jest założenie, będące płodem tradycyi, popartej przez doświadczenie codzienne, mianowicie, że wśród jestestw wszechświata człowiek przedstawia stworzenie najmniej zagadkowe, najsłabsze, a więc najbardziej potrzebujące opieki i pomocy. Nietylko żywioły, lecz nawet okazy świata organicznego przewyższają go swoją potęgą. Zwierzę na stepie, ptak w powietrzu, nawet liść na drzewie są bardziej świadome losów istoty ludzkiej, niż ona sama. Nasuwają się nam tutaj na myśl szczątki tej prastarej filozofii, występujące w przesądach ludu naszego, iż bydło rozmawia podczas nocy wigilijnej o tem, co spotka gospodarza w ciągu roku, że kukułka może wykukać, ile lat pozostaje do wesela lub śmierci, kot zaś wie, kiedy przybędą goście. O ile pewien przedmiot przyrody, istotny lub imaginacyjny (błyskawica i tęcza uchodzą tam za rzeczy), jest podobniejszy do człowieka swymi kształtami i przymiotami, tem mniej posiada mocy, wpływu i zagadkowości; natomiast więcej powinowactwa z istotą ludzką. Żywioły przyrody, jako niemające postaci ludzkich, są potężniejsze, niż zwierzęta, lecz posiadając formę zwierzęcą, są im bliższe, niż człowiekowi. Zwierzęta zaś, jeszcze bliższe człowieka, są już nie tak wszechmocne, jednak bardziej wpływowe, niż stworzenie ludzkie. Zuńczycy powiązali przedmioty i jestestwa przyrody w olbrzymie gromady krewniacze i utworzyli z nich organizacyę na wzór własnej społeczności: wąż, który czołga się po ziemi, i błyskawica, która podobnie skręca się wśród chmur, i strzała, wywierająca skutek taki sam, jak ukąszenie gadziny lub uderzenie piorunu, należą do tego samego działu i znajdują się w pewnym związku wzajemnym, tak, iż oddziaływając na jedno z wyliczonych „jestestw," my możemy wpłynąć na inne.

Poglądy, powyżej przedstawione, są dziecinną próbą uporządkowania i zrozumienia przyrody. Przy rozbiorze szczegółowszym okazałoby się, iż obejmują one każdą dziedzinę zjawisk, że usiłują wyjaśnić stosunek każdego „przedmiotu" do innych i wyszukać pomiędzy nimi zależność wzajemną, że starają się powiązać zdarzenia spójnią przyczynowości i poznać sprężyny życia. Pełno tam postaci nadprzyrodzonych, wpływów tajemniczych, oddziaływań na odległość. Atoli nie są to tylko zaciekania teoretyczne; przeciwnie, chodzi o rzeczy bardzo realne, o to, ażeby nagiąć przyrodę i ujarzmić ją. Człowiek zależy od żywiołów i kaprysów natury: mogą go dotknąć klęska nieurodzajów, głód, systematyczne niepowodzenie na polowaniu. Trzeba zapobiedz tym możliwym nieszczęściom. Ażeby więc obezwładnić wrogie siły przyrody, stara się on zrozumieć stosunek swój do otoczenia, w którem przebywa, oraz zależności wzajemne, bo tylko przy takiej znajomości może się spodziewać, iż zdoła obrócić żywioły na swoją korzyść. Powstaje pojmowanie wszechświata, błędne i naiwne, w którem siły przyrody wyrosły na istoty nadprzyrodzone, ale bądź co bądź czyniące zadość potrzebie i dostarczające człowiekowi wskazówek postępowania w życiu codziennem. Filozofia jest tam związana z interesami i widnokręgami powszednimi. Zuńczyk mniema, że zwierzęta są rozumniejsze, niż człowiek, który pozostawiony własnym siłom, wróciłby np. z polowania z próżnemi rękami. Jeżeli więc z zabiegów myśliwskich ma on otrzymać rezultat, winien pozyskać pomoc istot wyższych, mogących uśpić czujność jelenia i pozbawić bawoła jego rączości. Spostrzegł on, że ryk drapieżców obezwładnia zwierzynę. Chodzi więc o pozyskanie poparcia ze strony urojonej istoty, wielkiego drapieżnika kosmicznego, ażeby ten, gdy myśliwy będzie już na tropie antylopy, rykiem tajemniczym obezwładnił to czujne i bystre stworzenie. Używa w tym celu fetyszów, naturalnych skamieniałości, barwą swoją i kształtami przypominających owo jestestwo nadprzyrodzone — wierzy bowiem, że mając taką podobiznę, tem samem „trzyma w niewoli" także wolę jej rzekomego oryginału. Myśliwy, gdy wpadnie na ślad zwierzyny, wiąże na nim supeł, który także wywiera wpływ na antylopę swoimi kształtami i w pewien tajemniczy sposób spęta jej nogi, oraz wydaje ryk zwierzęcia drapieżnego, mający przypomnieć mitycznemu drapieżnikowi jego obowiązki. Dokonywa przytem wielu innych praktyk. Wszystkie te obrzędy są w najdoskonalszej harmonii z właściwem Zuńczykowi pojmowaniem przyrody. Zbiór takich środków i fortelów, dążących do pozyskania względów potęg i jestestw nadprzyrodzonych, stanowi właśnie treść kultu i obrzędowości zuńskiej.

Rozpatrywana z takiego punktu religia Zuńczyków, jako też wszelkiego innego ludu pierwotnego, dąży przedewszystkiem do celów praktycznych, codziennych. Do-

starcza ona człowiekowi środków wyzyskiwania sił przyrody i odwracania wpływów, uchodzących za szkodliwe. Religia na pewnym szczeblu rozwoju umysłowego jest filozofią, obrzędy zaś jej (amulety, fetysze i inne rzeczy) są zaś tylko środkami, podyktowanymi przez ducha tej filozofii dla wywołania pewnych skutków praktycznych.

Systematy teozoficzne są wcześniejszem ogniwem tego samego łańcucha rozwojowego, którego filozofia naukowa jest ostatniem; każde z tych ogniw pojmowania natury rozporządza odpowiednim arsenałem środków oddziaływania na przyrodę i naginania jej przebiegów do potrzeb ludzkich. Myśl to nie nowa, chociaż dotychczas nie rozwinięto jej konsekwentnie, tak ażeby ogarnęła cały pochód rozwoju umysłowego ludzkości. Wygłaszano ją bowiem niejednokrotnie, lecz zawsze luźnie i przypadkowo.

„Człowiek niecywilizowany — pisze W. E. Hearn [1]) — oddaje cześć każdej sile, która jest mu pomocna lub wroga w pracy codziennej. Kult taki dostarcza dowodów istnienia tej potęgi, oraz jej związku lub, w najgorszym przypadku, możliwego związku, z własnym dobrobytem człowieka. Trzymając się takiej zasady, uwzględnił on zjawiska, które bądź przypadkowo przykuły jego uwagę, bądź są w stałym stosunku z warunkami jego bytu. Innemi słowy, mitologia stanowi filozofię przyrody w okresie życia pierwotnego.“

„Za czasów dzikości — mówi wybitny znawca Indyan Ameryki północnej, J. W. Powell [2]) — spostrzeżono zjawiska przyrody, zarówno te, które dotyczą sił fizycznych, jako też właściwe sferze spraw ludzkich, znajdują dla siebie wyjaśnienie mitologiczne. Poglądy mityczne dają początek nieprzebranej liczbie obrzędów. Praktyki te dążą do powstrzymania klęsk oraz zapewnienia dobrobytu w życiu codziennem. Godną podziwu jest tam obojętność dla życia przyszłego: Indyanin zaledwie darzy uwagą swoją byt pozagrobowy; nawet gdy go przyznaje, myśl o nim nie wywiera żadnego widocznego wpływu na codzienne życie ludu. Uwagę dzikiego pochłaniają zabawy i zmartwienia, radości i kłopoty doczesne.“

„Mitologia pewnego ludu — robi uwagę Fr. H. Cushing,[3]) — jest tem bardziej skomplikowaną i trudniejszą do zrozumienia, im plemię rozporządza mniejszym zasobem ścisłej wiedzy. Przyczyn powstania i wzrostu mitologii winniśmy poszukiwać w tem samem źródle umysłowem, które dało początek filozofii wieku dziewiętnastego. Współczesny uczony w naszym kraju i Indyanin z plemienia zuńskiego pracują solidarnie na tem samem polu. Starają się oni wyjaśnić zjawiska przyrody, oraz zagadkę własnego bytu, jeden za pomocą poszukiwań, popartych doświadczeniem, drugi zaś używając koncepcyj metafizycznych.“

„Dziki — powiada Andrew Lang [4]) — poszukuje wytłomaczenia rzeczy, wychodząc z faktów własnego doświadczenia. Ale jego pojęcia o przyczynach i prawach przyrody są zbyt sumaryczne. Musi więc on uciekać się do pomocy tego, cobyśmy nazwali metafizyką, i w wielu razach używać wyjaśnień nadprzyrodzonych. Im powierzchowniej znamy fizyczne przyczyny zjawisk, tem przestwór dla przypuszczeń metafizycznych i nadprzyrodzonych jest szerszy. Te przyczyny nadprzyrodzone stanowią najistotniejszą cząstkę składową doświadczenia ludów dzikich. Że cała natura jest jestestwem żyjącem, że ludzie mogą przybierać kształty zwierząt, że istoty nadprzyrodzone, oraz zaklęcia zdołają zmusić słońce do darzenia nas dłużej światłem lub wywołać burzę, są to wszystko fakty, które człowiek ówczesny zdobył na drodze doświadczalnej.“

L. Krzywicki.

[1]) W. E. Hearn: *The Aryan household*, 1879, str. 17 (porównaj także str 19: „filozofia pierwotna i religia pierwotna stanowiły jedno“).

[2]) J. W. Powell w *Annual Report of the Bureau of Ethnology*. Waszyngton, 1885—86, str. XXXVII.

[3]) F. H. Cushing: *Zuni social, mythic and religious systems* (w *Popular science monthly*, XXI, str. 186).

[4]) Andrew Lang: *Mythes, cultes et religions*, przekła francuski, str. 85.

POSTĘPY AERONAUTYKI.

Kierowanie balonami.

Ludzie, niezajmujący się aeronautyką, wyobrażają sobie, że kwestya kierowania balonami jest mniej więcej takim samym, potępianym przez nowoczesną naukę absurdem, jak *perpetuum mobile*, lub kwadratura koła. Jeszcze pesymistyczniej zapatrują się oni na projekty maszyn latających, cięższych od powietrza, które, według ich zdania, nigdy nie będą mogły rozwiązać wielkiego zagadnienia.

Nie należy się jednak dziwić temu; boć ileż to już razy dzienniki rozgłaszały wiadomości o szczęśliwcach, którym jakoby udało się podbić atmosferę. Na temat ten fantazyjują nietylko gazety, ale i powieściopisarze; publiczność zaś, łudzona ustawicznie, w końcu przestaje wierzyć, żeby zadanie żeglugi powietrznej dało się rozstrzygnąć, i tych, co nad niem pracują, ma często za niewinnych waryatów.

Postęp idzie jednak szybkim krokiem naprzód; to, co przed laty dwudziestu zakrawało na mrzonkę i kwalifikowało do domu obłąkanych, dziś przybiera formy realne, a nawet niespodzianie wciela się w rzeczywistość i zaspakaja wymagania praktyki.

Tak też dzieje się ze sprawami aeronautyki. Dopóki kwestya ta znajdowała się na łasce i niełasce amatorów, nieuków i szarlatanów, żaden istotny postęp był niemożliwym. Obracano się w błędnem kole form zewnętrznych, nie sięgając do jądra; sądzono, że dość obmyślić jakieś nowe skrzydła, klapki, wiatraczki, aby zdumieć świat wiekopomnem odkryciem. Zadanie dojrzewało powoli, aż nareszcie dojrzało w końcu XIX w., w którym ludzkość walczyła celem zawojowania przestrzeni, tej najpotężniejszej tamy dla rozlewu cywilizacyi.

Skoro kwestya „dojrzała społecznie,“ zajęli się nią uczeni urzędowi, zaopatrzeni w bogate środki do badań i w krótkim przeciągu czasu z płonnej, warzonej co chwila mrozem pesymizmu roślinki, wyhodowali piękne drzewo, które niebawem zacznie rodzić zdrowe owoce.

Przedewszystkiem zabrano się do postawienia żegludze powietrznej trwałego fundamentu przez gruntowne zbadanie praw aerodynamiki; na polu tem położyli wielkie zasługi: Giffard, profesor Marey, który poświęcił kilka lat obserwacyom lotu ptaków przy pomocy chronofotografii, prof. Langley, sekretarz Smithsonian Institution (St. Zjedn.), gorliwy poszukiwacz w dziedzinie aerodynamiki, Otto Lilienthal, znakomity żeglarz, który śmiercią opłacił swe piękne i obiecujące zdobycze... Dziś na dziesiątki liczymy pisma poważne, poświęcone aeronautyce, w kwestyi tej wychodzi corocznie mnóstwo dzieł specyalnych w rozmaitych językach, a nad jej rozwiązaniem pracują umysły pierwszorzędne.

Zdobyte drogą doświadczenia dane wyrwały z pod nóg grunt spekulantom, wyprowadziły błądzących z manowców a trzeźwym pozwoliły zrobić kilka wielkich kroków naprzód.

Zwolennicy lokomocyi powietrznej dzielą się na dwa obozy, z których jeden chce rozwiązać kwestyę przy pomocy pozwalających się kierować balonów, drugi zaś, uznając, że do celu można dojść tylko przez naśladowanie przyrody, dąży do wynalezienia cięższej gatunkowo od powietrza machiny, któraby wznosiła się z ziemi dzięki lekkiemu a silnemu motorowi, działającemu na skrzydła lub szruby.

Odkładając na później przegląd przyrządów, cięższych od powietrza, zajmiemy się w niniejszym artykule balonami i rozważymy, czy mogą one kiedykolwiek stanąć na wysokości wymagań praktycznych.

Ażeby balon uczynił im zadość, musi żeglować w każdym, dowolnym kierunku, bez względu na siłę wiatru, najczęściej wiejącego w ciągu roku. Podróż winna odbywać się przez sześć przynajmniej godzin bez koniecznych przystanków dla nabrania paliwa lub wody; nareszcie powłoka musi utrzymywać gaz przez kilka tygodni, gdyż inaczej koszty tego rodzaju komunikacyi byłyby za wysokie. Rzecz naturalna, że opadanie i wznoszenie się nie może pociągać za sobą utraty wodoru, tej duszy każdego aerostatu; do tego celu służyłby specyalny mechanizm lub urządzenie.

Postawiwszy te wymagania, zobaczymy, o ile dzisiejsze balony czynią im zadość.

Jak wiadomo zapewne czytelnikom *Prawdy*, w r. 1885 pp. Renard i Krebs zbudowali balon „Francya,“ zaopatrzony w szrubę, poruszaną motorem elektrycznym i w ster do kierowania. Balon ten, mający postać cygara, pierwszy odbył podróż po zamkniętej krzywej, tj. wrócił, pomimo wiatru, do punktu, skąd wyruszył. Z tego widzimy, że „kwestya kierowania balonami“ w zasadzie jest już rozwiązaną od lat dziesięciu.

Aerostat „Francya“ nie wywołał tak niecierpliwie oczekiwanego przewrotu w lokomocyi dla dwu powodów: 1) szybkość własna jego była niedostateczną (6 m. na sekundę); 2) motor elektryczny funkcyonował tylko przez dwie godziny bez odnowienia cieczy i cynków w bateryi.

Szybkością własną nazywamy tę, z jaką balon porusza się w spokojnem powietrzu. Jeśli jest ona większą od chyżości wiatru, możemy płynąć naprzeciw niego; jeżeli obie są równe, stoimy w miejscu, a w wypadkach, jeśli wiatr wieje z chyżością większą — balon nie może mu się oprzeć i cofa się. Wchodzi tu w grę znane w cynematyce prawo składania ruchu. „Francya“ posiadała więc niedostateczną dla celów praktycznych szybkość własną, która nie zapewniała jej pożądanej niezależności od prądów powietrznych; powodem tego był za słaby motor elektryczny. Chcąc powiększyć jego siłę, należałoby zabrać daleko cięższą baterye i maszynę dynamo, na co nie pozwalała siła wzlotu. Motor z przynależnościami, jak: szruba, transmisya itd. ważył 659 kg., dawał zaś około 9 koni parowych; po odtrąceniu strat koniecznych siła ta zredukowała się do 8 koni użytecznych.

Niestety, elektrotechnika nie zrobiła w ciągu ostatnich lat dziesięciu znacznych postępów w budowie ogniw galwanicznych i akumulatorów, dlatego na elektryczność nie można dziś liczyć w aeronautyce.

Renard rachował, że balon taki, jak „Francya,“ dla osiągnięcia szybkości 10 m. na sekundę, uważanej za minimalną z praktycznego punktu widzenia, potrzebuje około 40 koni parowych; baterya jego, jakkolwiek w porównaniu z innemi niesłychanie lekka (platyna-cynk-kwas chromny z kw. solnym), musiałaby ważyć aż 1,000 kg., żeby dać taką ilość energii mechanicznej i to tylko przez godzinę.

To też następcy Renarda i Krebsa odwrócili się od motoru elektrycznego, szu-

kając innego, stosunkowo do swej wagi silniejszego.

W ostatnich wreszcie latach, dzięki usiłowaniom, mającym na celu stworzenie samochodu, odpowiadającego wymaganiom techniki, zrobiono olbrzymie postępy w budowie lekkich motorów.

Konkurencya pobudza ciągle gorliwość inżenierów i znagla ich do obmyślania coraz nowszych i doskonalszych pod względem lekkości typów; bo im maszyna będzie mniej ważyła, tem samem będzie silniejszą, szybszą i tem więcej znajdzie zastosowań.

Trudno, żebyśmy rozpatrywali te lekkie motory, z pomiędzy których naftowe, lub benzynowe wydają się nam najlepsze i najbezpieczniejsze; weźmiemy jeden typ, mianowicie Fenix-Daemler, używany przez firmę Panhard i Levassor, wynaleziony wprawdzie oddawna, ale znakomicie udoskonalony w ciągu ostatnich kilku lat i zobaczymy, o ile odpowiada on potrzebom aeronautyki.

Oto siła tego motoru w stosunku do jego wagi:

Siła przy 1000 obr. na minutę	Waga całkowita	Waga na kilogramometr
5,2 konia par.	75 kilogramów	0,250 kilogr.
7.8 „ „	100 „	0.170 „
10,4 „ „	140 „	0,179 „
15,6 „ „	200 „	0,170 „

Trzeba przyznać, że znajdujemy się niezmiernie daleko od urządzenia elektrycznego Renarda, ważącego, po odliczeniu ciężaru transmisyi i szruby, około 50 kilo na konia. Jest to stanowczo najdoskonalszy pod względem specyficznej potęgi motor.

Jeżelibyśmy chcieli zastosować do poruszania balonu parę, to mamy do rozporządzenia turbinę Lavala i rurkowy generator Serpolleta. Taki motor o sile 5 koni i pracujący w przeciągu godziny ważyłby 220 kilogr., tj. 0,585 kg. na kilogramometr produkowanej pracy mechanicznej. Wobec tego najodpowiedniejszym jest bezwątpienia motor naftowy, obywający się bez wody i węgla, a potrzebujący tylko nafty i chłodzony powietrzem. Nawiasem dodajmy, że motor elektryczny zbudowany podług najnowszych postępów, ważyłby 6,34 kg. w stosunku 1 kilogramometru.

Nie będziemy, dla braku miejsca, opisywali budowy motoru Fenix-Daemler, lecz zastosujomy go do poruszania balonu tego typu i tej wielkości, co „Francya“ Renarda. Całkowita siła wzlotu wymienionego aerostatu wynosiła 2,000 kilo, z których na właściwy motor, tj. baterye, maszynę dynamo i transmisyę przypadło 610 kilogramów.

Gdybyśmy zastąpili motor elektryczny motorem Fenix-Daemler tej samej wagi, to mielibyśmy do rozporządzenia 47 koni parowych. Taka siła, jak wyżej zaznaczył Renard, nadałaby jego balonowi szybkość 10—11 m. na sekundę, czyli 36—40 kilometrów na godzinę. Nie zapominajmy też o tej ważnej okoliczności, że motor naftowy mógłby pracować przez kilka godzin bez przerwy. Przyjmując, że maszyna zużytkowywałaby ½ kg. paliwa na konia-godzinę, łatwo obliczyć, że zabrawszy do łódki zamiast balastu 214 kilo nafty, moglibyśmy żeglować przez 8 godzin, nie opuszczając się na ziemię.

Taki balon oddawałby już duże usługi, gdyż mógłby się opierać nawet silnemu wiatrowi; zwiększając objętość jego, otrzymalibyśmy znacznie więcej stosunkowo miejsca dla motoru, albowiem siła wzlotu aerostatu wzrasta proporcyonalnie do sześcianów rozmiarów, ciężar zaś, proporcyonalnie do kwadratów z tychże. Aerostat dwa razy dłuższy i szerszy od „Francyi,“ uniósłby ciężar 8 razy większy, a sam ważyłby tylko 4 razy więcej; można go zaopatrzyć w motor, którybymu nadał szybkość własną 15, a może 20 metrów na sekundę.

Wynalazcy zdają sobie snać sprawę z wielkiej doniosłości maszyn naftowych dla aeronautyki; widzieliśmy bowiem na zeszłorocznej wystawie berlińskiej balon d-ra Wolfártha, poruszany benzynowym motorem, o sile ośmiu koni parowych. Ten statek powietrzny miał formę wrzecionowatą, liczył 27,5 m. długości, a 9,15 średnicy maximalnej, w łódce, zawieszonej nieostrożnie tuż pod korpusem balonu i tworzącej z nim jednę całość, znajdowały się dwie szruby: popychająca, na osi horyzontalnej, i podnosząca, osadzona na wale pionowym, a mająca służyć do wznoszenia się i opadania bez straty gazu.

Dr. W. przed kilku miesiącami postanowił wykonać próby ze swym balonem; wzleciał więc w towarzystwie pewnego mechanika i puścił w ruch motor na wysokości kilkuset metrów. Ponieważ, jak zaznaczyliśmy, łódka była zawieszoną zbliżko korpusu, przeto wodór zapalił się od płomyka benzynowego i nastąpiła straszna katastrofa. Statek szybko spadł, ogarnięty płomieniami i z gondoli wydobyto dwa zwęglone trupy.

Wypadek ten powinien służyć za przestrogę, żeby używać do zapalania mieszaniny gazowej w cylindrach nie płomienia, lecz iskry elektrycznej i zawieszać łódkę jak najniżej.

Ośmiokonny motor nie mógłby jednak nadać statkowi Wolfártha dostatecznej szybkości, doświadczenie nie przyniosłoby więc pożądanych rezultatów. Nieszczęśliwy wynalazca wskazał przecie drogę, po której należy iść, żeby rozwiązać nareszcie zadanie kierowania balonami.

Wl. Umiński.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA

Antoni Mazanowski: *Przegląd najnowszych badań z historyi literatury polskiej* (1893—96), Kraków, 1897, str. 82.

Antoni Mazanowski jest jedynym z tych nielicznych nauczycieli gimnazyalnych, co to nie poprzestają na rutynicznem odbywaniu lekcyi, ale starają się śledzić rozwój badań, odnoszących się do przedmiotu specyalnego ich zajęcia. Ma sąd wyrobiony, oparty na znajomości odnośnej literatury i krytycznem jej przetrawieniu. Świadczą o tem zarówno prace dawniejsze, jak i obecna, której tytuł powyżej wypisałem.

Autor zamierzył sobie nietylko bibliograficznie zregestrować, ale także umiejętnie ocenić prace z zakresu dziejów literatury polskiej w ciągu lat czterech, poprzedzających lata ogłoszenia jego dziełka, dość obfity materyał ugrupował wiekami, do których odnoszą się książki, czy rozprawy przezeń rozpatrywane. Rozpoczyna zatem od wieku XII, to jest od ciekawej hipotezy, jaką rzucił młody Maksymilian Gumplowicz co do pochodzenia i losów pierwszego naszego kronikarza, Gallusa. Kończy zaś przedstawieniem studyów, dotyczących trójcy naszych wielkich poetów. Są wprawdzie jeszcze wzmianki o rozprawach, mających za przedmiot życiorysy lub oceny twórczości kilku innych poetów romantycznych, ale widoczną jest rzeczą, że o rozbiór tych rozpraw autorowi już nie chodziło.

Z tego zarysu treści widać, że p. Mazanowski wyczerpać materyału całkowicie nie chciał, czy nie mógł. Dokładnym jest w tem tylko, co się odnosi do wieków niegłych i do największych przedstawicieli romantyzmu.

Zdania swoje o rozstrząsanych przez siebie pracach formułuje jasno, trzeźwo, popierając je niekiedy wywodami innych krytyków. Uprzedzenia względem nikogo w nim nie widać, nie jest też autor ani chwalcą, ani bezwzględnym krytykiem, nie doszukuje się wyłącznie wad w rozbieranych przez siebie rozprawach. Dlatego książka jego może być bardzo pożyteczną dla każdego, kto się chce zaznajomić z najnowszym stanem naszej historyografii literackiej.

We wstępie i w zakończeniu znajdujemy kilka uwag ogólniejszej natury. We wstępie wskazuje rozszerzanie się zakresu badań historyczno-literackich i jego pogłębienie wskutek coraz to pilniejszego rozpatrywania archiwów rękopiśmiennych, wskutek ściślejszego trzymania się metody porównawczej i wreszcie wskutek dokładniego uwzględniania tła dziejowego. W zakończeniu zaznacza parę wad metodycznych, jakie w ogóle badaczów nowszych dostrzega. Jedną z tych wad jest mącenie kompozycyi dzieła rozprawianiem o krytycznych wywodach innych autorów; drugą — nieostrożność w korzystaniu z samych dzieł pisarzy badanych, kiedy zbyt pochopnie szczegóły zawarte np. w poematach przenosi się na rzeczywiste życie poetów. Trzecią wreszcie wadą, wytkniętą przez p. Mazanowskiego, jest przesada w dochodzeniu t. zw. genezy utworów i korzystania z obcych dzieł. Autor zręcznie i dowcipnie wyśmiewa tę policyę literacką, jak ją Małecki nazwał i twierdzi słusznie, że pojedyncze wyrazy, zwroty, myśli wreszcie nie stanowią jeszcze dowodu zależności naszego autora od obcych. „Zdarzają się— powiada p. M. — niekiedy wyjątkowo uderzające obrazy, na podstawie których snuć można domysły, jeśli *zewnętrzne* dowody wesprą. Inaczej, gdyby tak w dalszym ciągu porównawcze badanie obchodziło się z pisarzami, jak się obchodzi dotąd ze Słowackim lub nawet Krasińskim, dojdzie do tego, że na poetach naszych nie pozostawimy nic zgoła, a krytyka porównawcza stanie się bałamutną szarpaniną łatek, zamiast być objaśnieniem twórczości poetycznej.“ Ostrzeżenie to jest zupełnie słuszne, szkoda tylko, że niezbyt poprawnie wyrażone. Wogóle język p. Mazanowskiego nie ma wielu usterek, ale styl grzeszy tu i owdzie niepoprawnością w układzie zdań, a ożywia się tylko czasami.

P. Chmielowski.

ALFONS DAUDET.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Wiadomość o śmierci Daudeta spadła na szerszy ogół zupełnie niespodziewanie. Rodzina była oddawna przygotowaną, znany pisarz dziesięć lat już cierpiał na chorobę mlecza pacierzowego, postępującą zwolna, lecz nieubłaganie. Trzymano to jednak niemal w tajemnicy.

Wieczorem piętnastego grudnia przy obiedzie opuściła go przytomność. Zaniepokojone otoczenie posłało po lekarzy Potaina i Gilles de la Tourette'a. Niestety, mistrzowie medycyny mogli tylko stwierdzić zgon.

Alfons Daudet urodził się w Nimes w 1840 roku. Nic nie wskazywało, że odda się literaturze. Ojciec handlował jedwabiami, rodzeństwo było liczne, choć śmierć potem srodze je przetrzebiła. Z siedemnaściorga dziatwy dożyło wieku dojrzałego tylko czworo.

W każdym razie podobne warunki zdawały się nie pozwalać na to, aby „Petit

Chose," jak nazwał siebie Daudet w powieści autobiograficznej, mógł zamieszkać kiedykolwiek w napowietrznych pałacach marzenia. A jednak młody chłopak już notatki gimnazyalne zapisywał wierszami i ułamkami tragedyj. Bieda tymczasem i warunki rodzinne zmusiły go do zarobkowania. Choć nie zdał jeszcze egzaminu dojrzałości, ujrzał się zmuszonym objąć miejsce „piona" — nadzorcy młodzieży w internacie gimnazyalnym — w miasteczku Alais. Dwa lata wytrwał na tej cierniowej posadzie i być może, iż zniechęciły go one ostatecznie do prawidłowego zdobywania karyery. Starszy brat Ernest wyjechał był poprzednio do Paryża; pisywał w kilku pismach, a nadto pobierał siedemdziesiąt pięć franków jako sekretarz pewnego pana, układającego swe pamiętniki. Alfons, zebrawszy kilkadziesiąt franków na drogę, kupił sobie również bilet do stolicy.

W „Trzydziestu latach Paryża" opisał on swój przyjazd, przyjęcie przez brata i pierwsze wrażenia. W drodze omdlewał z głodu; wtedy marynarze, jadący z nim w jednym wagonie, uraczyli go swojem jedzeniem. Nad Sekwaną życie wielkomiejskie oczarowało go. Brat, naprzykład, mieszkał w „hotelu Senatu," na przeciwnym boku ulicy Tournon znajdował się dom przybocznego lekarza cesarskiego Ricorda. Taka wspaniała nazwa hotelu, tak pochlebne sąsiedztwo, co za rozkosz dla siedemnastoletniego przybysza z prowincyi!

W tej atmosferze paryskiej począł dojrzewać zaczęty już przedtem pierwszy zbiór poezyj, zatytułowany: „Kochanki." Gdzie jednak znaleźć nakładcę?

„Zacząłem podróż po wydawcach. Pukałem do drzwi Michała Lévy'ego, pukałem do drzwi Hachette'a, a kogo wówczas nie odwiedziłem! Wślizgiwałem się do wszystkich wielkich księgarni, przestronych jak katedry, gdzie moje trzewiki skrzypiały straszliwie i mimo kobierców robiły ogromny hałas. Urzędnicy z minami biurokratycznemi mierzyli mię wejrzeniem bufnczucznem i zimnem:

— Chciałbym zobaczyć się z panem Levym w sprawie rękopisu.

— Bardzo dobrze, szanowny panie; proszę powiedzieć mi swoje nazwisko.

A posłyszawszy je, urzędnik zbliżał metodycznie swoje usta do jednego z otworów tuby głosowej, potem przykładając ucho do drugiego:

— Pana Lévy'ego niema w domu.

Pana Lévy'ego nigdy nie było w domu, ani pana Hachette'a, ani wogóle nikogo, zawsze dzięki owej niecnej tubie głosowej."

Obiegłszy wielu nakładców, znalazł chętnego — tuż przy swem mieszkaniu. Księgarz Tardieu, sam wierszopis, wydrukował „Kochanki" (*Les amoureuses*).

Jest w tym zbiorku kilkunasto-strofowy wiersz „Śliwki." Forma: pieśń kupletowa w rodzaju tworzonych przez pieśniarzy osiemnastego wieku. Treść pokrewna. „Mój kuzyn ma sad pełen śliw; jesienią weszliśmy weń z kuzynką, ona zerwała jedną śliwkę, nkąsiła połowę, a drugą dała mnie" — to tak zmieszało młodzieńca, że razem ze śliwką wziął i jej usta rumiane.

Lekki ów wierszyk — nic nadzwyczajnego zresztą — utorował Daudetowi drogę do powodzenia. Zadeklamowano go w kilku salonach, życzliwy znajomy Edward Thierry napisał fejleton w *Monitorze* o reszcie zbiorku i młodego poetę zaproszono do współpracownictwa w kilku dziennikach.

Więcej, niż dziesięć lat trwał nowy okres życia poety, okres dziennikarsko-dramatyczny. Pod rozmaitymi pseudonimami pisał Daudet kroniki, recenzye teatralne, artykuły bieżące, dzieje tygodnia rymowane. Nim wydał pierwszy zbiór, głęboko wzdychał, ilekroć przechodził koło Odeonu. O, wejść do tej Kaaby dramaturgów! Teraz i Odeon wystawił jego komedyę (napisaną wespół z Lépinem) „Ostatnie bożyszcze." Wogóle jednak ten okres dowodzi przedewszystkiem niezmordowanej działalności pisarza w kierunku zarobkowym. Libretta do oper, obrazki dramatyczne, mogące bawić przez kilka godzin i po kilku tygodniach przestarzałe, odcinki zwiędłe już po pięciu, sześciu dniach, oto przędziwo lat, poprzedzających pierwszą powieść „Le petit Chose" (1868).

Właściwie doba dziennikarska przeciąga się po wojnie, nawet dalej. Nowele Daudeta aż do ostatnich chwil nie są przeważnie czem innem, jak fejletonami, osnutymi na tle urojonem. Szybkie przedstawienie, rozwiązanie raźne, najczęściej pochwycenie jednego momentu. Pogłębiania niema wcale, albo odrobina. W każdym razie „Opowiadania poniedziałkowe" (*Contes du lundi*) jak najwyraźniej ujawniają tę cechę. Znajdujemy ją i w powieści. Co głównie znamionuje utwory powieściowe Daudeta? Nie chcę powiedzieć: plotka, ale śmiało rzec mogę: „fait divers," ostatnia nowinka, ostatnie wiadomości czy to o jakichś „królach wygnanych," czy o „nababach," czy o cierpiących pod uciskiem religijnym „ewangelistkach," czy o rozwodzie głośnym lub o znanej powszechnie niewierności jakiejś damy z wyższego świata. Być może, że Daudet nawet nie spostrzegł, iż twórczość jego wciąż wpada w wilcze doły kumoszkowstwa, a naprowadza mię na tę myśl jego protest w „Nababie": „Nigdy nie spodziewałem się, aby książka, pisana w celu wyłącznie literackim, miała natychmiast zyskać to znaczenie *anegdotyczne* i wywołać tyle pretensyj i żażaleń do mnie. Doprawdy rzecz niesłychana. Niema w moich dziełach ani jednego wiersza, ani jednego bohatera, ani jednej sylwetki nawet, którahy nie dała powodu do aluzyj, do protestów."

Podrabiano wciąż klucze do jego powieści. I to może w znacznym stopniu przyczyniło się do ich powodzenia.

Lecz tenże okres wydał najpiękniejszy utwór Daudeta, najbardziej ceniony przez niego i godzien istotnie wysokiego uznania. Są nim „Listy z mego młyna." Jakiż to był młyn? Oto wiatrak na wzgórku okrytym jodłami, daleko w ziemi prowansalskiej, wywijający wciąż ramionami nad dachem domu pewnej poczciwej rodziny ziemiańskiej, która podejmowała chętnie Daudeta, ilekroć przyjeżdżał z Paryża. Z pod tego pagórka usłanego tymiankiem, ogarniętego ciszą, przerywaną tylko czasem okrzykiem derkacza albo we dnie nawoływaniami przepiórek, wysyłał on wówczas — przeważnie do *Evénement* — wrażenia z życia prowansalskiego, opowiadania osnute na tle południowem, dowcipne kroniki, niewymuszone, świeże, wdzięczne, jak różowe blaski jutrzenki, które barwiły niedalekie szczyty Alp prowansalskich. Do czasu wielkich powodzeń pisarza „Listy" te były bardzo czytywane: zapomniano je teraz nieco — niesłusznie.

Powieść „Petit Chose," ogłoszona w r. 1868 — historya własnej młodości autora — otwiera nowy szereg utworów. W r. 1872 powstaje „Tartaryn z Taraskonu," w 1873 „Robert Helmont," w 1874 „Fromont młodszy i Risler starszy," w 1876 „Jack," w 1877 „Nabab." Następują „Królowie na wygnaniu" (1878), „Numa Roumestan" (1881), „Ewangielistka" (1883), „Safo" (1884), „Tartaryn w Alpach" (1885), „Nieśmiertelny" (1888), „Róża i Ninetka" (1891), „Mała parafia." O tej i kilku innych mniejszych utworach Daudeta z ostatnich lat czytelnik znajdzie zdanie piszącego niniejsze słowa w odnośnych rocznikach *Prawdy*.

Co rzec o owych dwudziestu tomach, wszędzie znanych i na główne języki Europy przetłomaczonych? Niepodobna odmówić im wartości, ale trudno też brać za dobrą monetę opinię bieżącą o nich. Nie są to arcydzieła. Alfons Daudet, przyjaciel Flauberta i Goncourtów, czciciel Balzaka, starał się iść za ich przykładem; nie tworzył spiesznie, baczył na język i styl. Są to zalety. Lecz brak mu było potęgi i głębokości tamtych.

Czy szukał nowych dróg? Nie. Czy zgłębił jakieś zagadnienie, jakąś stronę duszy ludzkiej? Chciał być satyrykiem w „Numie Roumestanie," ale jego deputowany nigdy nie będzie mógł stanąć przy dziennikarzu Maupassantowskim. Zwalczał fanatyzm i rozwód, ale jakże płytko pojmował te sprawy! Chciał rozczulić dziejami wykolejonego dziecka, lecz „Jack" nie zostawia dziesiątej części tego wrażenia, jakie daje Dickens. Poruszał dramaty życia rodzinnego; przeczytawszy „Córki komendanta" Jonasza Liego, pomyślałem sobie: przy tem dziele Daudet wygląda jak piwonia przy róży. Próby analizy, jak „Safo" lub „Fromont" kończą się wpadnięciem w melodramat.

Nie stworzył żadnej postaci. Osoby jego są blade i każda z rozdartym bokiem. Z tego boku wychodzi jakaś bardzo podobna, należąca do jednego z następnych utworów. Nawet ów Tartaryn: przed nim i po nim są południowcy gadatliwi, o bardzo żywej wyobraźni, gwarni—tylko inne nazwiska noszą.

Tajemnica powodzenia? Jeden z jej czynników podaje przedmowa do Nababa. Zresztą potrzeba przyznać powieściom oryginalność pomysłów, lekkość stylu, potoczystość akcyi. Nie zużyły też myśli, co dla pewnych warstw ma dużą wartość.

Od czasu choroby rozwinęła się w Daudecie właściwość, która i poprzednio zresztą — mniejsze tylko—wypuszczała listki, mianowicie błaha, codzienna drobnostkowość. Zdaje mi się, że nawet po rozmowie z Napoleonem zapamiętałby był najbardziej, iż brakowało mu jakiegoś guzika przy płaszczu. W każdem ze swoich dzieł wyprowadza on osoby *dla siebie* antypatyczne i jednemu każe brodę nosić krzywo, drugiemu mówić źle, trzeciemu rąk nie myć. Przyczepki te ogromnie niemiłe, odbijające przy braku uzasadnienia tej antypatyczności, pochodzą w części właśnie stąd, że pod każdą osobą (zaznacza to w „Trzydziestu latach Paryża") widział kogoś znajomego w innem tylko przebraniu i z nieco zmienioną peruką.

Chwytanie szczegółów przeszło wreszcie w formę chorobliwą. W końcu i na sobie robi podobne spostrzeżenie. Powrócę do przytoczonego opowiadania o wędrówce z rękopisem „Kochanek." Co ma tam do rzeczy skrzypienie jego butów? Czy oddaje nastrój, czy położenie materyalne? Nie, nie odpowiada elegancyi i dlatego utkwiło w umyśle pisarza.

Ale sporo wpłynął na to stan zdrowia. Biedny człowiek! Podobny był do drzewa, którego korzenie, jeden po drugim, podcinał niepokonalny robak. Więdły gałęzie i liście, przestrzeń życia zmniejszała się coraz bardziej. Jednak on pracował i tworzył!

Posiadał wiele zalet, był dobrym przyjacielem, tkliwym ojcem, stronił od wirów polityki. Wydelikacony różnił się znamiennie od swego towarzysza, Zoli. Dumny, gdy raz nie przyjęto go do akademii, spalił za sobą mosty, pisząc „Nieśmiertelnego." Można powiedzieć, że żył, albo przynajmniej starał się żyć, w strefach górnych, w krainie sztuki i artyzmu. W każdym zaś razie hasłem jego życia i pism było zdanie: Co mogłem.

W. Bugiel.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

NAUKI. K. Krauz: „Socyologiczne prawo retrospekcyi" (32 str.).

— Dr. J. B. Marchlewski: „Fizyokratyzm w dawnej Polsce" (70 str.). Rozprawa wysokiej wartości naukowej.

POEZYA. A. Mickiewicz: „Wybór poezyj" z krótkim życiorysem autora: tom I, zawierający drobne utwory (190 str.) 15 k.; tom II „Pan Tadeusz" 20 k. Nakład drukarni L. Szyllera.

DLA MŁODZIEŻY. W. Umiński: „Na falach Atlantyku," przygody rozbitka pośród oceanu (206 stron). Dubowski i Gajewski.

— F. Wermiński: „Atlas historyi naturalnej" w 180 obrazkach kolorowanych na 28 tablicach. Dubowski i Gajewski.

— W. Sieroszewski (Sirko): „Wśród lasów" (77 str.), z ilustracyami. Rzążewska i Lissowska.

POWIEŚĆ. H. Rumowska: „Na strunach serca," powieści i nowele (243 str.). Dubowski i Gajewski.

— Deotyma: „Panienka z okienka," starodawny romansik (365 str.). S. Sadowski.

WYDAWNICTWA ZBIOROWE. W „Bibliotece dzieł wyborowych" wyszedł „Psałterz Dawidowy," przekł. J. Kochanowskiego, z przedmową B. Chlebowskiego.

ALBUM BIOGRAFICZNE zasłużonych Polaków i Polek XIX w. zaczęło wychodzić zeszytami nakładem *Kuryera Niedzielnego*. Zeszytów ma być 30, cena jednego 80 kop., z przesyłką pocztową 1 rs.

KALENDARZE. „Kalendarz myśliwski" na rok 1898, B. Ronczewskiego.

POEZYE

DIES IRAE

A gdy mię będą nieśli do mogiły,
Za moją trumną pójdzie spokój miły,
Zażegna marę światowej rozkoszy
I wszystkie troski po drodze rozproszy.

A gdy mnie złożą do ziemi głębokiej,
Na grób mój zejdą ciemności i mroki,
Lecz mi cichego nie spłoszą spokoju,
Bo już nie będę z niemi staczał boju.

Może nado mną ziemia szalejąca
Jak ćma uleci po swą śmierć do słońca,
Albo strącona padnie w przepaść ciemną,
Nic będę pytał, jak ludzkość, daremno!

Niema rozkoszy ponad ciszę w grobie,
Gdy nic już człowiek nie wspomina sobie,
Ni większa gorycz tutaj się nie rodzi,
Gdy szukasz grobu, a on cię uchodzi.

I niema większych wysileń człowieka,
Gdy on swą duszę z mogiły wywleka,
Nigdy mozoła nie jest bardziej krwawa,
Gdy człek swo życie dla drugich oddawa.

Ale choć odda, żadna z dłoni bratniej
Nie ściśnie jego ręki raz ostatni,
Nie odprowadzi wiernie do mogiły,
Jeno za trumną pójdzie spokój miły...

Andrzej Niemojewski.

W DALI.

Radom. Zawiązana w „zasadzie" spółka rolnicza radomska, według ustawy normalnej, zatwierdzonej przez komitet ministrów 12 lipca 1897 roku, ma zapewnioną podstawę finansową w kwocie rs. 6,400. Ponieważ, jak donosi *Kuryer Warsz.*, krótkość czasu i warunki, utrudniające większe zebrania, nie pozwoliły udać się do wszystkich, dla których postęp i pomyślność rolnictwa nie są obojętne, przeto inicyatorowie spółki, pp.: Adam Helbich, Maryan Arkuszewski, Aleksander Karszo-Siedlewski, Władysław Pruszak, Wacław Przychodzki i Antoni Sobieszczański, zwrócili się obecnie do ziemian guberni Radomskiej o przystąpienie do spółki. Udział oznaczono na 100 rs., wpisowe 10 rs.; czas wnoszenia należności przyjęto do dnia 15 stycznia 1898 roku. Wzięcie kilku udziałów nie jest wykluczone, przeciwnie, dla rozwoju spółki bardzo pożądane. Należność składać trzeba u rejenta Wacława Przychodzkiego w Radomiu lub radcy Władysława Dobieckiego w dyrekcyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Radomiu. Ustawa będzie przesłana władzy w połowie stycznia.

Łódź. Stowarzyszenie pracowników handlowych zakłada 3-klasową szkołę handlową, do której będą przyjmowane dzieci członków stowarzyszenia, bez różnicy wyznania. — Zamknięto w Łodzi dwa tingle-tangle, zbiorniki błota moralnego. — *Tydzień* piotrkowski donosi, iż w Łodzi pojawił się materyał opałowy, t. zw. *brikety*, cegiełki, wyrabiane z miału węgla kamiennego, które podobno palą się bardzo dobrze. Cena — 75 kop. za setkę. — Rząd gubernialny piotrkowski wysłał do magistratu łódzkiego projekty oświetlenia Łodzi elektrycznością, przedstawione przez trzy firmy. Miasto ma być oświetlone elektrycznością na początek tylko w środkowych dzielnicach.

Kijów. Obrady komisyi, powołanej przez ministeryum finansów do opracowania ustawy politechniki kijowskiej, odroczono. Początkowo mają być utworzone trzy wydziały, z tych chemiczny i mechaniczny z kursem 5-letnim, agronomiczny zaś — 4-letni. Pierwszy wydział ma liczyć 175, drugi 350, trzeci 175 słuchaczów, ogółem zaś politechnika 700. Instytut będzie dawał kończącym stopnie inżenierów-mechaników, inżenierów-chemików i agronomów. Wstęp będą mieli kończący zakłady wyższe, gimnazya, szkoły realne i zakłady, wskazane przez ministeryum.

KRONIKA.

Wyrok. *Warsz. Dziennik* ogłasza: „Z 244 studentów uniwersytetu warszawskiego, oddanych pod sąd uniwersytecki w sprawie zajść d. 24 i 25 października (st. st.) r. z., p. kurator okręgu naukowego, po rozpoznaniu raportu sądu i uchwały rady, na zasadzie zatwierdzonych przez p. ministra oświaty przepisów o karach, wymierzanych na studentów przez władze uniwersyteckie, uznał za podlegających: wykluczeniu z uniwersytetu — 1 studenta, wydaleniu na dwa lata — 6 studentów, wydaleniu na rok — 19, uwolnieniu na rok — 58, naganie wobec zarządu uniwersytetu — 34, naganie rektora z zaciągnięciem do księgi kar — 23 i naganie rektora bez zaciągnięcia do księgi kar — 4. Pozostałych 99 uznano za niewinnych. Z rozporządzenia p. ministra oświaty, zapadłego w porozumieniu z p. generał-gubernatorem warszawskim, 54 studentom, znajdującym się pierwszy rok w uniwersytecie, a podlegającym uwolnieniu na rok, karę tę, w drodze szczególnej dla nich względności, zmieniono na naganę wobec zarządu uniwersytetu. Odpowiednio do tego zmniejszono również o jeden stopień karę wszystkim studentom, podlegającym naganie różnego rodzaju. Tak więc wykluczeniu, wydaleniu i uwolnieniu z uniwersytetu ulegnie 30 studentów, naganie 111, a 103 uniewinniono."

Wiadomości społeczne. Według obliczeń urzędowych, w całem państwie jest około 200,000 ociemniałych i 56,000 głuchoniemych.

— W Przybramie (Czechy) założono czytelnię polską akademików górniczych.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawy towarzystw wzajemnej pomocy: 1) Zakładów naukowych w Tyraspolu i 2) szkoły miejskiej dwuklasowej w Humaniu.

— Pisma petersburskie donoszą o następującym procesie, rozstrzygniętym przez Izbę sądową w Tambowie: „Naczelnik biura pocztowego w pow. Morszańskim, Suchanow, przez lat kilkanaście wyjmował pieniądze z listów, prawie wyłącznie adresowanych do zesłańców na Sachalin, do duchowieństwa w Palestynie i Konstantynopolu itd. Jeżeli z korespondencyi S. się domyślał, iż wysyłający pieniądze oczekiwać będzie odpowiedzi, zmieniał listy i podrabiał je." Izba — według *Sarat. Dniewn.* — skazała S., z uwzględnieniem Manifestu Najwyższego, na 16 miesięcy rot aresztanckich, oraz pozbawienie praw szczególnych i przywilejów.

— W r. 1901 Ryga święcić będzie 700-lecie swego istnienia.

Szkoły. Pp. Władysław Kiślański, Leopold Kronenberg i Franciszek Nowodworski złożyli Głównemu Naczelnikowi kraju memoryał w sprawie politechniki w Warszawie. Wypracowała go osobna komisya, która z inicyatywy sekcyi technicznej Towarzystwa przemysłu i handlu powstała w tym celu pod przewodnictwem inż. Kazimierza Obrębowicza. W ciągu dwu miesięcy zgromadzono z różnych źródeł potrzebne materyały i na ich podstawie opracowano memoryał. Odpis jego złożono również p. kuratorowi warszawskiego okręgu naukowego.

— Politechnika w Kijowie ma być otwarta z początkiem nowego roku szkolnego.

— Ministeryum oświaty wszczyna sprawę rozszerzenia progimnazyów szkół realnych i przekształcenia ich na 8-klasowe. Sprawa ta jest w związku z zamianą kursu 5-letniego zakładów technicznych na 4-letni. Kurs szkół technicznych średnich ma być 3-letni. Przyjmowani będą do nich uczniowie, którzy skończyli 6 klas szkół realnych.

— Z początkiem nowego roku szkolnego Instytut technologiczny w Petersburgu będzie mógł przyjąć znacznie większą liczbę słuchaczów, dzięki temu iż ministeryum oświaty wyznaczyło 300,000 rs. na rozszerzenie gmachu.

— Ministeryum oświaty urządzać ma w zakładach naukowych kursy wieczorne niedzielne dla robotników. Początkowo wprowadzona będzie nauka rysunku oraz wykład technologii rzemiosł.

— Według orzeczenia ministeryum oświaty, pomocnice aptekarzy nie mogą być przyjmowane na kursy farmaceutyczne w uniwersytetach. (*Peterb. Wied.*).

Prasa. P. minister spraw wewnętrznych dał gazecie *Sibir* drugie ostrzeżenie za jej szkodliwy kierunek.

— Ministrowie spraw wewnętrznych, oświaty i sprawiedliwości, tudzież prokurator naczelny św. synodu, postanowili zamknąć zupełnie wydawnictwo czasopisma *Nowoje Słowo* w Petersburgu.

Konkurs. Rozstrzygnięto we Lwowie konkurs dramatyczny dyrekcyi teatru miejscowego. Pierwszej nagrody nikomu nie przyznano. Drugą przyznano trzyaktowej sztuce p. Grabowskiego p. t. „Na miejskim bruku." Do grania polecono pięcioaktową sztukę p. Bolesławicza. Dyrekcya teatru ogłosiła nowy konkurs na tych samych warunkach z terminem do 1 września r. b.

Wystawy i zjazdy. D. 18 maja r. b. zwołany będzie pierwszy zjazd lekarzy kolejowych.

— Ministeryum spraw wewnętrznych pozwoliło zwołać zjazd przedstawicieli wydawnictw peryodycznych w sprawie sprzedaży oddzielnych numerów gazet po miastach i na stacyach kolejowych.

— W r. 1899 będzie zwołany w Charkowie międzynarodowy zjazd przemysłowców i inżenierów górniczych.

— Zjazd delegatów kolejowych będzie radził o powiększeniu wynagrodzenia niższych oficyalistów i o zmniejszeniu godzin pracy. (*Mir. Otg.*).

— Ostatni zjazd górniczy w Charkowie uchwalił wyjednać przedłużenie opłaty celnej od stali do r. 1908, tj. na 10 lat.

— Piąty zjazd w sprawach komunikacyj wodnych zapowiedziano w Petersburgu na luty r. p. Zjazd trzeci w sprawach wykształcenia zawodowego i technicznego na sierpień 1899 r., wreszcie pierwszy balneologiczny odbędzie się w połowie r. 1899.

— Towarzystwo rolnicze zwołuje w Mińsku zjazd w sprawie obowiązkowego ubezpieczenia bydła.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyj wydało rozporządzenie, na mocy którego straże ogniowe (ochotnicze, kolejowe, miejskie) wraz z taborem, powołane do ratunku, mogą korzystać z bezpłatnego przewozu kolejami w całem państwie.

— Urzędowo ogłoszono połączenie kolei Nadwiślańskiej z Terespolską pod ogólną nazwą „kolei Nadwiślańskich." Wszystkie połączone linie mają 1,247 wiorst. Zarząd pozostaje w Warszawie.

— Otwarto kolej wązkotorową z Piaseczna do Gołkowa. Obecnie więc kolej Wilanowsko-Grójecka od Warszawy do Gołkowa liczy 29 wiorst, oprócz bocznic do papierni w Jeziornie i do cegielni w Skolimowie (5 wiorst).

Przemysł i handel. Ogłoszono ustawę Banku rosyjsko-koreańskiego.

— Bank państwa puścił w obieg nowe monety złote pięcio-rublowe.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panom G. i A. Ofiary Panów będą ogłoszone później, gdy otrzymamy książkę poświadczoną urzędownie, do której jesteśmy obowiązani je zapisywać według nowego rozporządzenia.

A. Adresu p. W. K. nie znamy i nie mogliśmy dowiedzieć się, gdzie on obecnie przebywa.

P. L. Wiersz Pański nie do druku. Myśl w nim bardzo ładna, ale obrazowanie zbyt skąpe i forma, zwłaszcza w rytmie, wadliwa. Na tę ostatnią młodzi poeci nasi zbyt mało zwracają uwagi, a tymczasem posiada ona daleko większe znaczenie artystyczne, niż tym.

Panu Ludwikowi G. w Rydze. Odpowiedzieliśmy listownie.

Przyjacielowi Pr. Oba słowniki są zupełnie jednakowe i zarówno dobre.

— Z początkiem r. b. wyjdzie z druku z zapomogi Kasy im. Mianowskiego **Poradnik dla samouków** (część I), opracowany przez grono specyalistów pod redakcyą: S. Dicksteina, J. Ejsmonda, St. Kramsztyka, L. Krzywickiego i A. Mahrburga.

Poradnik zawierać będzie wskazówki praktyczne dla samouków i wychowawców, z wymienieniem dzieł, poleconych do systematycznego czytania, poczynając od książek popularnych.

Na część I-szą złożyły się następujące prace: *Przedmowa.— Matematyka* (S. Dickstein). — *Wstęp do nauk przyrodniczych* (S. Kramsztyk). — *Nauki przyrodnicze wogólności. — Fizyka i mechanika* (W. Biernacki). — *Astronomia* (S. Kramsztyk).—*Chemia* (B. Znatowicz). — *Meteorologia* (S. Kramsztyk). — *Mineralogia i geologia* (J. Morozewicz). — *Botanika* (M. Heilpern).— *Zoologia* (J. Ejsmond). — *Atlasy przyrodnicze* (A. Ślósarski). — *Anatomia, fizyologia i hygiena* (M. Flaum). — *Nauki antropologiczne* (L. Krzywicki).—*Geografia* (An. Świętochowski i P. Sosnowski). — *Psychologia* (A. Mahrburg). — *Nauka wychowania* (S. Karpowicz). — *Dodatek zawierający bibliografię książek z zakresu zastosowań nauk przyrodniczych do życia praktycznego* — *Skorowidz* autorów dzieł wspomnianych.

Przedpłatę na książkę powyższą, objętości dwudziestu kilku arkuszy druku, nadsyłać można do Administracyi *Prawdy* Nowogrodzka nr. 39. Cena egzemplarza kop. 50, bez kosztów przesyłki.

Za pośrednictwem Administracyi naszej czytelnicy ***Prawdy*** *nabywać mogą po rs.* ***3****, z przesyłką rekomendowaną rs.* ***3*** *kop.* ***45.*** *dzieło*

Piotra Chmielowskiego

KOBIETY

Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego

O ile samo nazwisko najznakomitszego badacza historyi literatury polskiej poręcza gruntowność tej książki, o tyle cztery wydania świadczą o jej popularności. Obecna edycya wytworna, opatrzona wieloma pięknemi ilustracyami, wypuszczona została na dochód autora w roku jubileuszowym jego wysoce zasłużonej i owocnej pracy

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 22 Декабря 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.